№ 14. Warszawa, dnia 26 Marca (7 Kwietnia) 1877 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. -Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowej lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41

POGADANKA.

Wiosna już puka do naszych progów! Bzy przechwalają się pączkami, trawniki zielenią, a cukiernia ogrodu Saskiego nowo wypokostowanem otoczeniem. Dzikie gęsi przeciągają po nad Warszawą, w klatkach świegoli ptastwo rezolutnie, otwieramy okna, zrzucamy futra i paletoty i przyglądamy się jak Wisła kurczy się i do przedświętnej schodzi potulności.

Oto nasze wiośniane rozkosze! Nie szczególne co prawda, nie ciekawe, ani zdumiewające, zawsze jednak pożądańsze jak owe burze, wichury i wylewy rzeczne środkowej Europy, o których gazety dość się naopowiadać nie mogą. W południowych stronach cesarstwa także nielepiej. Wieści o roztopach i wylewach na porządku dziennym. Drogi popsute, druty telegraficzne poprzerywane, budowle poprzewracane, inwentarze pobite, zasiewy poniszczone, a Kahalnik niewielka rzeka na Donie tak nagle wezbrała, że wstrzymany w biegu krą przy moście nagromadzoną zatopił całe sioło Samarskoe.

Wiosna jednak już puka do naszych progów: cieszcie się lubownicy słonecznych dni i śpiewu skowronka ale i drżyjcie zarazem, bo pan Delaunay uczony francuzki zapowiedział ani mniej ani więcej tylko... koniec świata.

Jak się ten straszny dramat życia ziemi odbędzie, czy zginie przez brak wody, powietrza lub... pieniędzy, jest to jeszcze tajemnicą. Jeżeli te przypuszczalne trzy czynniki zatracenia wystąpią rzeczywiście, to Warszawa jest już w przededniu wielkiej katastrofy. Ma wodę ale nie do picia, ma powietrze ale nie do oddychania, ma niby i pieniądze ale puste kieszenie jak stodoła na przednowku.

Pomimo jednak tak niebezpiecznego stanowiska, ruch, gwar i życie jakoś nie uciekają z naszej kochanej Warszawy. W czasie postu chętnie, uważnie i w licznej gromadzie słuchała odczytów publicznych, napełniała sale koncertowe, w wielkim tygodniu pobożnie modliła się, dnie świąteczne przepędziła w rodzinnych kółkach, a teraz z zapałem krząta się około urządzenia letnich teatrów, sprowadzenia orkiestry do Szwajcarskiej doliny, uporządkowania ogrodu Saskiego straszliwie zaniedbanego i zakładania nowych pism peryodycznych, wysuwających się jak rydze po deszczu.

Mamy już Nowiny na dnie świąteczne i galowe: mamy dwa kuryery na wieści i plotki warszawskie, teraz przybył Kuryer poranny, aby zaraz po przebudzeniu można się było zachwycać najświeższej mody nowinkami.

Z koncertów wielkopostnych bardzo świetne zajęły miejsce, trzy symfoniczne pod dyrekcyą p. Kątskiego. Składały się nań dzieła znanych i mniej znanych mistrzów: zagrzebane od wieków w pyle niepamięci psalmy i hymny kościelne z wieku jeszcze XVI księdza Mikołaja Gomółki, przebrzmiały ze swą przejmującą powagą, obok porywających dźwięków Mendelsohna i wspaniałego marszu Bethovena „na ruinach Aten." Towarzystwo muzyczne oprócz zwyczajnych wieczorów uraczyło nas także koncertem acz starannie urządzonym ale z tak nielicznem gronem słuchaczy, że aż przykro było patrzeć na pustkę świecącą w sali. Co było tego powodem, trudno odgadnąć. Młody także skrzypek Stanisław Barcewicz cieszył się zasłużonem uznaniem w danym przez siebie koncercie, a Widma Moniuszki przedstawione w wielkim teatrze na korzyść biedy Warszawskiej były prawdziwą uroczystością dla zebranej bardzo licznie publiczności.

Na brak więc koncertów, pomijając świąteczne występy orkiestry p. Sonnenfelda, Warszawa narzekać nie może i tylko co do opery... pociesza się jedynie tradycyą dawnej jej świetności. A jednak tylu naszych artystów i artystek wielkim obdarzonych talentem błąka się w obczyznie, ciesząc Niemców, Włochów, Francuzów a nawet zamorskich mieszkańców nowego świata na nasz wstyd i upokorzenie.

Poranek Deklamacyjno-Muzyczny pana Rapackiego, odznaczył się nowością pomysłu czytania utworu dramatycznego przez artystów, odpowiednio do ról, któreby przy przedstawieniu im przypadły. Pomimo braku dekoracyi, akcyi i kostiumów, wrażenie było silne. W Paryżu zawiązuje się podobno projekt probowania w ten sposób wszelkich utworów oddanych do dyrekcyi teatrów, dla należytego i sprawiedliwego osądzenia ich scenicznej wartości. Wartoby go i u nas zastosować. Prawda, że gdyby istniał zwyczaj takich prób czytanych, zbyt wiele fars przyprawionych słono i pieprzno w cudzoziemskich kuchniach, nie zostałyby uznanemi za godne przedstawienia; prawda, że wiele sztuk oryginalnych swojskich autorów, osnutych na tle naszego społeczeństwa, wkroczyłyby na grunt dotąd prawie dla nich niedostępny: prawda wreszcie, że byłoby to istotnym przewrotem w dziejach kroniki teatralnej, ale... wątpić należy czy konserwatywna reżyserya zgodzi się na takie wyrzeczenie się dobrowolne praw dotąd jej posługujących. Jakaż to czarna niewdzięczność! Wszak tylko co mieliśmy aż dwie nowe sztuki. Czy oryginalne? Broń Boże! ale za to moralne. W pierwszej p. t. Hrabina Soumerive, rozczulenie odejmuje łzom wszelkie zapory i teatr cały sączy ich potoki: w drugiej p. t. Róża i Oset dowiadujemy się, że związek między tytułem a treścią sztuki nie potrzebuje wcale usprawiedliwienia. Zawsze talent panny Deryng znalazł w obu dramatach pole popisu i znakomicie się przyłożył z p. Królikowskim do utrwalenia sławy jej autorom, Francuzom i Niemcom.

Teatrzyk Dobroczynności za to, nie biorąc przykładu ze swego wielkiego kolegi, usiłuje pozyskać jak najwięcej utworów oryginalnych. Druga serya

amatorskich przedstawień, szczególniej odznaczyła się pod tym względem. Najpierwszy w tym razie hołd uznania należy się gorliwemu prezesowi p. Kazimierzowi Dobieckiemu, który niezmordowanie krząta się o przysporzenie dochodu dobroczynnych instytucyi. Co zaś do teatru i jego reżyseryi, wdzięczność przypada sędziwemu i zasłużonemu tylostronnie byłemu dyrektorowi Jasińskiemu, który z prawdziwą miłością dla sztuki kształci amatorów zostających pod jego światłym kierunkiem, przetwarzając ich w artystów, pozyskujących szczere zadowolenie i oklask publiczności.

Komedyjka p. Horwata p. t. Córka elegantki, oryginalnie napisana, zasługuje tu na pochlebną wzmiankę czego już nawet i pisma codzienne dopełniły niezalecające się wcale zbytniem pobłażaniem. Troszkę może za wiele obejmuje morału i deklamacyi, w całości jednak przebijają pobłyski świetnego talentu, który przy wprawie rozwinie się z pewnością z wielkim pożytkiem dla dramatycznej literatury. W wykonaniu tej pięknej sztuczki panna Marya Maryewska w roli podlotka niezmiernie się podobała: w roli lekkomyślnej żony p. Marya Szeliga wystąpiła z wielkiem pojęciem swego zadania, pp. Przystojecka i Mystkowska niewielkie swe role oddały z należytem rozumieniem, pan Piramowicz bardzo zręcznie osłaniał narzucone mu przez autora niezdarstwo pantofla męża, a p. Minasowicz odegrał konkurenta z godnością i wykończeniem co niemałą stanowi zasługę. W obec szeregu ofiar i starań o polepszenie bytu biedakom, znajduje się jeszcze niewprowadzona w czyn myśl niezmiernie zasługująca na uznanie, jako moralna zapomoga nieszczęśliwych, gnębionych długą chorobą w szpitalach. Jest to pomysł gromadzenia biblioteczek, któreby służyły do uprzyjemnienia przykrych chwil rekonwalescencyi tak nieznośnie nudnych, tembardziej dla bardziej wykształconych osób, a tych przecie po szpitalach niemała mieści się liczba. Niemal w każdym domu, znajdują się książki treści lżejszej, należycie oczytane i przeczytane. Z ofiary ich utworzyłyby się biblioteczki, a zaprawdę dobry to czyn, do którego warto przyłożyć rękę. Książki nadsyłać można do naszej Redakcyi. Powieść, poezye, historya, podróże, nawet... elementarz, wszystko się przyda, boć szpital to zbiorowisko wszelkiego stanu: jęczą tam obok prostaczków, którym może z nudów przyjdzie myśl nauki, i tacy co choć byli jej wiernymi kapłanami, dostali się wreszcie do szpitalnego łoża... Albożto nie przysłowiowy kres profesorów i poetów?

Dawno projektowana a bardzo pożądana *Czytelnia tania*, otwartą nareszcie została na Krakowskiem Przedmieściu. Posiada ona oprócz ekonomicznych warunków bardzo przystępnych, (2 złp. gr. 20 miesięcznej opłaty) i tę dogodność, że kto zechce, może czytać w czytelni. Mówiono nam że wiele kobiet uczęszcza tam z wielką pilnością, oby tylko warszawscy donżuani nie dowiedzieli się o tej nowości dotąd u nas niepraktykowanej. Ale prawda, kobieta zapatrzona z powagą w kartki drukowane, dla podobnych osobistości nie bardzo osobliwych, nie ma żadnego powabu. Karli ich duch przykuty do ziemi, nie śmie nawet spojrzeć w oczy rozumną myślą ożywione. Miesza się, niepokoi... niech więc bez obawy czytelnia tania zapełnia się wabnem gronem niewiast pragnących nauki, a może przykład ich pociągnie i owe donżuańskie jednostki i z lalek salonowych porobi... ludzi.

PAN MICHAŁ
POZYTYWISTA WARSZAWSKI.
Studyum z natury Ignacego Pstrokońskiego.

(Dalszy ciąg).

Po długim namyśle od którego redaktora zacząć wędrówkę z rękopismami, wybrał wreszcie jednego. Przyjęty życzliwie jako młodzieniec w pracy piśmiennej szukający szlachetnego zajęcia, odebrał oświadczenie spiesznego przejrzenia rękopismów i zawyrokowania o ich wartości. Rozpoczęła się później gawęda o literaturze przeszłej i obecnej, o poetach naszych i powieściarzach, o źródłach i materyałach historycznych, o sposobie zapatrywania się na ducha czasu, jego potrzeby i wymagania. Pan Michał chętnie prowadził tak zajmującą rozmowę, ale skrycie się niecierpliwił, że więcej musiał być słuchaczem potwierdzającym jak przeczącym, a jeżeli czasem posunął się do wystąpienia z odmiennem zdaniem, czuł że mu brak gruntu, dowodów niezbitych do przechylenia zwycięztwa na swoją stronę.

Zmęczony rozmową, wybiegł na ulicę jak oparzony. Sam nie wiedział co o tem sądzić, czy uważać siebie za zero w dziedzinie pracy literackiej, czy też za pokonanego zręcznością wymowy wprawnego gębacza. Chodząc po pokoju myślał, otaczał się kłębami dymu papierosów, porównywał wiedzę własną z nieświadomością wielu rzeczy, o czem nabrał teraz dopiero pewnego przekonania i przyszedł wreszcie do wniosku, że nauczyć się choćby podobnie rozprawiać, byłby to nabytek wielce pożyteczny. Ale jak?

Był to sęk, nad wybiciem którego tak się pan Michał zadumał, że nawet nie usłyszał wejścia kolegi, który przed kilku dniami odradzał mu stanowczo udania się z rękopismami do starych redaktorów.

— Cóż to Michałku tak się zadumałeś? zapytał koleżka zasiadając na kanapie i zapalając papieros. Zapewne roją ci się myśli, pomysły do nowych prac literackich. Brawo! Lubię ten zapał w młodym człowieku.

— Nie zgadłeś, odrzekł Michał, przechodząc przez pokój z założonemi w tyle rękami. Myślę, ale zupełnie o czem innem.

— Zapewne byłeś u którego z tych starych wyjadaczy redaktorskich?

— Tylko co wróciłem od X.

— Poznałem to odrazu, ha, ha! ale wiesz co, że to zabawne.

— Dla czego?

— Bo i mnie tak samo zakręciło się w głowie jak tobie, wprędce jednak wytrzeźwiałem.

— Hm! mruknął Michał, w każdym razie, rzecz to godna zastanowienia.

— Daj pokój mój bracie! Cała ich praca dotychczasowa, to senne marzenia lunatyków pragnących gwałtem dostać się do księżyca. Bili też guzy po guzie, a zapatrzonych w siebie obdarzali sińcami i skaleczeniami, z których się wylizać dotąd nie mogą. Ziemi dla nich nie było, w obecności umieli tylko wzdychać i narzekać, starając się gwałtem przeszłość związać z przyszłością, jakby nie wiedzieli że co raz zamarło do życia już nie powraca.

— Winić ich jednak o to bezwarunkowo nie można. Okoliczności, zawody...

— Dajże pokój, przerwał koleżka, to zdanie utrwalone, opinia wyrobiona i zupełnie zasłużona. Wreszcie dla zaspokojenia prostej ciekawości mamyż się zagrzebywać w stosach bibliotecznych, aby zrównać się z wiedzą w przedmiocie zupełnie bezużytecznym? Dość już tego ścigania mar wybujałej wyobraźni, ideałem naszym powinny być usiłowania poprawy bytu społecznego, który na gwałt domaga się dzielnych pracowników, którzyby ślepym otworzyli oczy, zaspanych otrzeźwili, marzących ocknęli z letargu i każdemu przykuli ręce do pracy, które w dumaniu, jak ty nieprzymierzając, trzymano dotąd załamane po za plecami.

— Wywody twoje są słuszne, odrzekł Michał mimowoli opuszczając ręce, zawsze jednak poznanie tego co zrobiono dotąd...

— Daj pokój marudo, przerwał koleżka. Największemi arcydziełami wytryśniętemi z bujnych wyobrażeń lub wygrzebanemi z pod pleśni i pyłu dokumentów i pamiętników, nie przysporzysz głodnemu jednego nawet bochenka chleba, a tu ich tysiące nawet miliony pragnie i łaknie. Trzeba nam stowarzyszeń, banków, jednoczenia kapitałów, działalności, rzutkości w pomysłach, słowem rozwoju pracy ekonomicznej we wszystkich kierunkach a nie lubowania się w epopejach, dramatach, studyach, ideałach filozoficznych, które przeżywszy swój czas, należą do przeszłości już bezpowrotnej. Teraz idzie o chleb, o masło do niego, o kawał posilnej pieczeni, o szklankę dobrego piwa a nie o piękne słówka arcydzieł przeszłości, które wyglądają dziś jak kosztowne ozdoby ścian w chacie nędzarza. Spojrz w około siebie, czyż wszystko, rolnictwo, handel, przemysł, rzemiosła nie wołają na gwałt ratunku i pomocy.

— No, to prawda, potwierdził Michał, pracy jednak ekonomicznej powinna przewodniczyć inteligencya, a tę zdobywa się wszystkiemi czynnikami z różnych gałęzi nauk czerpanemi. Żadnym z nich pogardzać nie należy...

— Masz słuszność, ale zanadto długo spano i marzono, abyśmy nie mieli pospiechu wymagać. Być może że w tem usłowaniu coś braknie, ale ten niedostatek mniejszą przyniesie szkodę jak zupełna bezczynność. Na usunięcie tego braku i to dość wątpliwego nie ma już czasu. Głód i nędza mają swoje prawa i te na gwałt domagają się odpowiedniej czynności. Im prędzej ta się rozpocznie tem lepiej, do nas należy wskazywać środki, dawać zachętę, obudzać wolę, naganiać gnuśnych i kołatać do każdej głowy, słowem rozumnej myśli, jak taranem, aby przestała marzyć o niebieskich migdałach, a stanęła na gruncie rzeczywistym, pozytywnym, jedynym na jakim ludy budując gmach swej pomyślności mogą być pewne jego trwałości. Niech starzy bujają w sferach niedoścignionego ideału, a my chodźmy po ziemi: niech drzemiąc marzą a my działajmy. Dziedziny ich zabawy i cacek nie dotykajmy, szkoda na to czasu i atłasu jak powiedział Sobieski...

— Chyba który z Jagiellończyków, poprawił Michał z pewnem zadowoleniem.

— To wszystko jedno, otóż dziedziny ich pałaców z kart stawianych nie dotykajmy. Jesteśmy bowiem w położeniu człowieka ciężką przygniecionego chorobą, w którym cierpienia wzmagają się, organizm psuje i wszystko domaga się zdrowia, owego skarbu o którym Węgierski powiada:

> Szlachetne zdrowie,
> Nikt się nie dowie...

— To Krasicki mój kochany nie Węgierski, poprawił Michał.

— Dajże pokój z temi poprawkami, odezwał się

koleżka, przecież tu nie idzie o to kto powiedział, tylko co powiedziano. Jak to znać żeś tylko co był w towarzystwie nudnego pedanta jego redaktorskiej mości.

Rozmowa ta w inny sposób ale równie jak poprzednia dobrze zakręciła w głowie pana Michała. Nasłuchał się nieraz pogardliwych uwag o działalności starych literatów, ale były to zdania urywkowe, poparte wzgardliwem podniesieniem ramion, szyderstwem mniej więcej dowcipnem i uśmiechem nader wymownym. Pierwszy raz dopiero miał je wyrozumowane, wyjaśnione, wykazane jak na dłoni, że dotąd wszystko co wytworzyła społeczność było niczem, marnością, próchnem, słowem wierutnem głupstwem, i że życie świata rzeczywiste zaczyna się od chwili obecnej, gdy razem z rowieśnikami rzucił na niego spojrzenie i zawołał wielkim głosem:

— Stań się światło i rozprosz ciemności.

— Koleżka myślał sobie pan Michał, to łepak godny zastanowienia, chociaż w studya nad tem co dotąd zrobiono, wcale się nie wdawał. A jednak umie mówić i to zasadnie i przekonywająco. Rzeczywiście, na poznanie dotychczasowego wyrobu myśli całej przeszłości tak na drodze literackiej jak społecznej, nie ma czasu. Wprowadzenie w ruch ekonomicznej pracy i to jak najprędzej, stało się potrzebą wszystkie inne spychającą na podrzędne stanowisko. Jej się więc głównie poświęcę, a z tem co było obeznam się pobieżnie, aby tylko związać końce i pójść dalej. Obszerniejsze studya są już niepodobne, na to potrzebaby lat nie miesięcy, wreszcie praca czysto ekonomiczna jest dla nas nowością a ona przecie z życiem literackiem i społecznem przeszłości nie ma żadnego związku.

Wyszeptawszy te słowa Michał, przez dni kilka dumał i rozprawiał z przyjaciołmi o planach działalności przez nich tworzonych i coraz więcej nabierał przekonania, że koleżka jego miał słuszność twierdząc, że niekoniecznie trzeba przewertować stosy książek po bibliotekach nagromadzonych, aby módz mówić przekonywająco o szczerbach w obecnym ustroju społecznym i sposobach do ich usunięcia posługujących.

Przyszedł nareszcie termin dowiedzenia się o losie rękopismów oddanych panu X. Niewiele miał wprawdzie nadziei przyjęcia ich i bezwarunkowej pochwały, ale nie wątpił o ich wartości i był przekonany, że jeżeli odrzucone zostaną, to spowoduje to jedynie niechęć do dźwigania młodych talentów, z obawy przyćmienia uznanych powag.

Pan X. przyjął pana Michała również uprzejmie jak poprzednio: pochwalił zdolności młodzieńca wiele obiecujące, jego dobre chęci, zacność myśli wziętych za główną treść do pracy piśmienniczej, ale w końcu dodał że są w nim braki, które tylko z czasem przy usilnej pracy dadzą się usunąć.

— Społeczność, rzekł mu, w rozwoju swoim jest podobna do gonitwy urządzonej roztropnie, w którym za jednym jeźdźcem zmęczonym pogonią, następuje drugi ze świeżemi siłami, po nim trzeci, czwarty i tak następnie. Tym sposobem cel pogon i coraz bliższym się staje, wytężenie sił poprzedników nie ginie marnie, następcy nie potrzebują przebiegać drogi już przebieżonej i pędzą dalej gotując nowych szermierzy gdy sami padną wyczerpani. Ci jednak powinni wiedzieć dokąd doszli ich poprzednicy, znać wszystkie przeszkody jakie napotykali, jak je usuwali, jakie popełniali błędy, co zrobili, co zrobić pragnęli i co pominęli z wielką swoją szkodą. Ty panie Michale jesteś jednym z owych nowych szermierzy, co znużonych pracą i blizkich już końca, masz zastąpić w ich zajęciu, aby pasmo życia społecznego, snując się bez przerwy, i w wątku swoim i w osnowie w coraz piękniejszej przedstawiało się barwie. Warunki masz potemu, bo posiadasz istotną zdolność a nawet i pobłyski talentu wiele obiecującego, tylko ci brak dokładnej, choćby w ogólnym zarysie, znajomości tego co przed tobą zrobiono. Z twojego wiersza Dumanie poety widać to jasno, że arcydzieła poetów naszych zaledwie znasz z nazwiska; studyum o Karolu Wielkim przekonywa, że przedmiot ten znany ci tylko z historyi a cała nadelbańska Słowiańszczyzna tak dziś znacznie rozjaśniona przez pamiętniki i dokumenta, zupełnie ci jest obcą. Co do powieści, jest ona tylko przypomnieniem kilkudziesięciu innych z obcej literatury, ale nie utworem mającym cechę oryginalności. Postacie wprowadzone do niej wprawdzie mówią po polsku, obracają się niby na naszych równinach, ale tak jakoś niezdarnie, tak sztywnie, tak nie po naszemu, tak rzecz cała nie z naszego wyrosła gruntu, że mimowoli musi obudzać niezadowolenie w czytającym. Naturalne to następstwo twojej młodości panie Michale. Powieść to obraz życia społecznego z krytycznym poglądem na jego kierunki, trzeba ją więc znać dokładnie, a na to nie miałeś jeszcze czasu. Trzeba także znać cały rozwój naszej powieściowej literatury, od klechd i podań aż do utworów naszych dzisiejszych pisarzy, aby nie być ani powtórzeniem ani echem poprzedników. Poznaj więc to wszystko panie Michale, zapoznaj się dobrze z naszą historyą i literaturą, czytaj co obecnie się drukuje i dopiero po kilku latach sam się zabierz do pisania, a ręczę że pomału zyskasz uznanie i zajmiesz w dziedzinie literackiej niepomierne stanowisko. Dziś zaś piśmiennicza twoja praca jest próżnem marnotrawstwem czasu, i jeżeli jej nie porzucisz, przepadniesz, bo zmarnujesz zdolności rokujące piękne bardzo owoce. Może cię zdanie moje tak bezwzględnie wyrzeczone obruszy, ale nie jesteś wyrostkiem panie Michale tylko młodzieńcem jak powiedziałem wiele obiecującym. Przemawiając w ten sposób spełniam obowiązek jako obywatel kraju którego pierwszą powinnością jest czuwać, aby z tych co z czasem mają nas zastąpić, ani jeden nie zmarnował drogocennych skarbów umysłowych, jakiemi przez Opatrzność został obdarzony. Są one własnością całej społeczności, im lepiej takowe zużyte zostaną, tym większa dla niej korzyść, wy zaś kochana nasza młodzieży, jesteście na drodze zbyt pośpiesznej działalności. Kto chce naukę posuwać dalej i podnosić poziom społecznego wykształcenia rozumną radą na poglądzie krytycznym opartą, ten koniecznie musi znać wszystko co przed nim zrobiono i wypowiedziano. Jeśli to spełnisz panie Michale, to kiedyś wspomnisz przyjaźnie człowieka co ci prawdę bez ogródki wypowiedział. W przeciwnym razie, zmarnujesz się i pozostaniesz zawsze tylko wiele obiecującym.

Pan Michał słuchając rumienił się i bladł naprzemian: kręcił się biedak, pocił, coś bąkał niezrozumiale i gdy wybiegł na ulicę zdało mu się że wyskoczył z ukropu i pali się cały jakby naftą oblany. W tem oburzeniu wpadł do domu, rękopisma rzucił na stół i po chwili cokolwiek się uspokoiwszy zaczął rozważać. Rozsądek skłaniał go do przyznania słuszności panu X. ale miłość własna coraz bardziej podnosząc głowę wzięła górę i Michał zawrzał gniewem. Zapalał więc papieros po papierosie, niedopalone rzucał, chodził po pokoju, wyglądał przez okno, aż wreszcie nadszedł ów koleżka, który zobaczywszy rękopisma leżące na stole, zrozumiał odrazu co się stało.

— No, cóż, nie przepowiedziałem ci jaki los spotka twoje prace? odezwał się z szyderczym uśmiechem. Znam ja ich dobrze, ale na takie bzdurstwa nie zważaj. To tylko najgorzej mój drogi, że rękopisma twoje już w żadnej nie zostaną przyjęte redakcyi, bo ci inwalidzi bez głów prawie solidarnie są z sobą związani. Co jeden odrzuci i drugi tem pogardzi, jakby się zmówili, ale jest jeden pomiędzy niemi starszy od nas, ale nie stary jeszcze, któremu nie tęgo się wiedzie skutkiem obojętności starej prasy. Dziennik jego podnosząc ciągle kwestye o których dotąd milczano, pragnie i szuka młodych pracowników. Do niego się więc udamy; rozbratany ze wszystkiemi przesądami postanowił rzucić się z całym zapałem na wszystkie głupstwa i niedołęztwa a przede wszystkiem pokazać jak małymi są ci których za wielkich ogłoszono. Oto pole dla nas pracy, chodź, chodź, dziś właśnie jest u niego zebranie: będzie narada jak zgnieść monopol literacki tak uporczywie przez starych utrzymywany. Wypowiemy im prawdziwą kampanię, bój na śmierć, a że zwyciężymy o tem na chwilę nie wątpię. Już Mickiewicz w przeczuciu swego ducha powiedział: młodości... ty wylatuj... nie! nie tak, tyś wyższa nad wszystkie... no mniejsza jak powiedział, jakoś wyszło mi z głowy, chodźmy!

I poszli. Zebranie było dość liczne. Puszek młodości krasił wszystkie oblicza, w liniach brużdżących czoła jaśniała myśl rozbudzona do życia, w oczach przyświecał zapał do czynu, do działania i uprzedzając korzystnie nadawał odcień pewnej szlachetności wiele rokującej na przyszłość.

Gdy przyszli nasi znajomi rozprawy toczyły się z gorącem ożywieniem. Rozbierano potrzeby i niedostatki społeczne, wyszukiwano sposobów do zaspokojenia pierwszych a usunięcia drugich, sprzeczano się i dowodzono, powstawano na ospałość przeszłości, wyszydzano jej przedstawicieli, ośmieszano ich całą działalność, a choć w tem wszystkiem przeświecała zadraśnięta miłość własna naradzających się, przeważała jednak poczciwa chęć wskazania nowych torów rozwoju przyszłej pracy społecznej i ta szlachetna ufność we własne siły wołająca z poetą:

Dalej z posad bryło świata,
Nowemi cię pchniemy tory,
A spleśniałej zbywszy kory,
W zielone zakwitniesz lata!

Czy który znał wielki ten utwór z którego wyjątek przytaczamy, tego twierdzić na pewno nie można, myśl jednak jego, może bezwiednie, przenikała każdego ze zgromadzonych i odziewała urokiem który pociągał i zachwycał zarazem. Pan Michał z początku milczący, pomału ożywił się, a zobaczywszy tylu dzielnych szermierzy jedną ożywionych myślą, która tak zgadzała się z jego obecnem położeniem, połączył się z nimi i przyznał że we wszystkiem mają najzupełniejszą słuszność.

— Tak, panowie, odezwał się gospodarz, przesądom i niezdarności wypowiadamy wojnę na zabój, wojnę bez litości. Prawda czysta śmiało rzucana wszystkim bez żadnego względu, oto nasze hasło. Dość już majaczeń i sennych widziadeł! Dotychczasowe paplanie które tyle ran zadało społecznemu ciału, zastąpmy mową jędrną, nawoływującą do trzeźwości. Nie spełnimy jednak tego dopóki nie zniszczymy bałwochwalstwa przeszłości i nie wykażemy nicości tych, co się głoszą jej kapłanami. Druzgoczmy ich, spychajmy z wyżyny na którą wdarli się z tak wielkim bólem ogółu, pokażmy że to karły nie olbrzymy, że cześć jaką ich obdarzono jest darem wcale niezasłużonym. Gdy tego dokonamy, słów naszych żaden dźwięk fałszywy przytłumiać

nie będzie, wszystkie oczy zwrócą się ku nam, rady nasze chwytać będą i świat rzuciwszy się do czynu odmłodnieje zapałem jaki nas ożywia.

(*d. c. n.*)

FATUM.

(Z Brettharta).

Pod chmurnem niebem nagie sterczą skały,
Podmuchy burzy nad ziemią powiały
I szumiąc mętnych fal wzdymają łoże;
Nie; ja się dzisiaj nie puszczę na morze

Las w mrok zapada, trop się zaciera,
W gęstwinach krąży krwawa pantera,
I lwice zległy — i ryczy lew płowy;
Nie; ja się dzisiaj nie puszczę na łowy!

Powrócił okręt z zamorskiej wyprawy,
Wrócili z lasu strzelcy pełni sławy;
A miasto które na opoce stało,
Trzęsienie ziemi w gruzy rozsypało.

W. Z. Kościałkowska.

WRAŻENIA Z PODRÓŻY

po Szwecyi i Norwegii.

przez Alberta Vandal.

(Streszczone przez J. B.)

(Dokończenie).

Historya zaznacza dwa stulecia między wiekiem feudalnym a epoką Odrodzenia, w zamku Rosenborg jedne tylko drzwi je oddzielają. Oto przepyszne zwierciadła weneckie; skrzynki florenckie inkrustowane słoniową kością, za podniesieniem wieka możemy podziwiać prawdziwy labirynt tajemniczych szuflad i skrytek, w których ukrywały się może tajemnice jakiego Medyceusza. Nieco dalej wiek XVII roztacza swój teatralny przepych; drewniane wierzchowce uginają się pod ciężarem kosztownych uprzęży i czapraków z olstrami; Kopenhaga pragnęła wtedy naśladować Versailles a Krystyan IV nie mogąc stworzyć Marly, rozkazał zrobić sobie siodło za 50,000 luidorów. W jednej z sal podziwialiśmy sztylety w oprawie lśniącej od drogich kamieni, miecze z prześlicznemi cizelowanemi rękojeściami,— to podarunki Napoleona I., dla jedynego sprzymierzeńca który zawsze pozostał mu wiernym, dla Krystyana, króla duńskiego.

Zwiedzaliśmy Rosenborg w towarzystwie jakiegoś wieśniaka duńskiego, który przybył z głębi kraju i z dumą narodową podziwiał skarby swojej stolicy; usłyszawszy nas mówiących po francuzku, zwrócił się do tłomacza prosząc aby powtórzył jego słowa. „Powiedz tym Francuzom, rzekł, że współczucie nasze dla nich nigdy się nie zmieni; tak oni i my przechowujemy w sercu nieubłaganą nienawiść dla wspólnego naszego wroga i wspólnie pomścimy się za nasze krzywdy.“

Lud duński posiada dwa przymioty czyniące naród godnym szacunku — umie kochać i nienawidzić. Kocha gorąco ojczyznę, przechowuje w sercu tradycyonalną cześć dla dynastyi i instytucyi narodowych, i zarazem posiada w wysokim stopniu poczucie własnej godności. Wie że ponieważ jest roztropny, skromny i pracowity, więc ma prawo do szacunku i uznania wszystkich ludów. Wspomnienia z wojny z 1864 r. nienawiść i chęć zemsty nad znienawidzonym wrogiem, są dziś równie silne i zacięte jak nazajutrz po zawarciu narzuconego im na tak ciężkich warunkach pokoju. Nienawiść dla Niemców odbija się wyraźnie w najdrobniejszych szczegółach codziennego życia; nikt nigdy i nigdzie nie mówi po niemiecku, choć język ten ma niejakie wspólne cechy z ich językiem narodowym. W Kopenhadze wszyscy prawie umieją a przynajmniej rozumieją po niemiecku, mimo to nikt tym językiem nie przemówi ani słowa, nie da poznać że zrozumiał co do niego powiedziano. Jeżli przemówi się po francuzku do jakiegoś przechodnia, najczęściej nie zrozumie, ale będzie towarzyszyć mówiącemu i wyszuka mu tłomacza: zacznij jednak do tego samego mówić po niemiecku, ruszy ramionami i nie odrzeknie słowa — zrozumiał, ale Niemcowi nie chce odpowiadać.

W Kopenhadze znajdują się ruiny nader troskliwie podtrzymywane przez Duńczyków, jako dowód odwagi ich ojców i napaści jakich stali się ofiarą, dwa razy w przeciągu lat dziesięciu. Ze starożytnej bazyliki Var Frue Kirke, pozostała tylko jedna wieża, która ocalała z bombardowania Anglików w 1801 i 1809 r. Na starych murach widać ślady granatów i rac kongrewskich. Weszliśmy na jej szczyt; z tej wysokości, Kopenhaga roztaczająca się u stóp naszych, wygląda jak wachlarz rozłożony na wybrzeżach cieśniny. Po nad cisnącemi się do siebie domami, wznoszą się wysokie szczyty kościołów i większych gmachów, wystające jak skały wśród morza. Miejscami ukazuje się czarna i nieruchoma woda basenów; gromady masztów wyglądają z pomiędzy domów. Przed nami widać Sund pokryty żaglami; w około miasta wstęgę lasów i piękne wioski wyspy Seeland, świeższe i zieleńsze, niż zielony Erein.

W wiekach średnich, ze szczytu tej wieży, strażnicy nocni czatowali na morskich rozbójników, zapuszczających się na wody Sundu. Jest temu lat sześćdziesiąt, strażnica zaznaczyła zbliżanie się całej floty rozbójników morskich. Kopenhaga miała stać się ofiarą napaści, straszniejszej od napadów Normandów, ale tym razem napastnicy nie z Północy przybywali. Wówczas Kopenhaga posiadała w swoim porcie szesnaście okrętów liniowych i dwadzieścia fregat w dobrym stanie; były to szczątki jej morskiej potęgi. Szanowana od ludów Europy, Dania żyła w pokoju ze wszystkiemi, gdy nagle do portu stolicy dopłynęła flota angielska, groźną przybierając postawę; przeszło sześćdziesiąt okrętów wojennych z osadą z żołnierzy, skierowało działa ku Kopenhadze. Anglia chciała ukarać Danię za jej wierność dla Francyi i nie dopuścić aby połączyła swą flotę z flotą jaką ekwipował Napoleon we wszystkich portach Europy, od Texel aż do Triestu.

Wysłaniec rządu Wielko-Brytańskiego, wezwał rejenta Danii o wydanie im fortecy Kroneborg, panującej nad Sundem, portu Kopenhagi i floty, a w zamian tych ubliżających propozycyi, czynił jakieś nieokreślone obietnice pieniężnego wynagrodzenia. „A czemże opłacicie nam utratę honoru? odrzekł książe.“

Kopenhaga zrozumiała że wszystko było stracone, więc przynajmniej pragnęła ocalić honor; w jej murach znajdowało się 5000 wojska, Anglicy wylądowali w dwadzieścia tysięcy. Cała ludność zdatna do wojska pochwyciła za broń, z postanowieniem bronienia się jeżli nieprzyjaciel szturm przypuści, lecz cóż mogła podołać Kopenhaga gdy ją bombardowano z oddali, z okrętów których dosięgnąć nie mogły jej strzały? Jak odeprzeć pociski świeżo wówczas wynalezione przez Anglika Congreve'a?

Dnia 2 września 1807 r. spadł na miasto grad kul i pocisków palnych szerzących zniszczenie, obracających w perzynę całe dzielnice, i zabijających kobiety i dzieci. Po trzech dniach, zostało zabitych trzy tysiące osób, połowa miasta spłonęła. Honor nie nakazywał już przedłużać dłużej bezużytecznego oporu; dnia 7 września, komendant Kopenhagi, jenerał Peyman, zmuszony był poddać miasto, arsenał i fortecę Kroneborg. Anglicy zajęli tedy swój łup, nie jak zwycięzcy ale jak korsarze; zrabowali arsenał, zagrabili okręty duńskie i uzbroiwszy je własną osadą, odpłynęli śpiesznie ze swą zdobyczą.

Między napadami Normandów w X-tym wieku a bombardowaniem Kopenhagi przez Anglików w XIX wieku, historya tę tylko zapisze różnicę: że napaść w 1807 r. dokonał naród chrześciański uważający się za najliberalniejszy i najoświeceńszy w świecie.

Kopenhaga jest posępna a Duńczycy są weseli, to też gdy tylko wiosna zaświtała, mieszkańcy po za jej murami szukają przyjemności i rozrywek. Arystokracya przenosi się do swych pięknych willi, rozrzuconych na wybrzeża Sundu, a dwór udaje się do starożytnego pałacu Frederiksborg, wznoszącego się w pośród jeziora, w malowniczem położeniu na wyspie Seeland. Słowem wszyscy mieszkańcy, mieszczanie czy rzemieślnicy, korzystają z każdej wolnej chwili aby w okolicach stolicy użyć świeżego powietrza i nacieszyć się widokiem pięknych krajobrazów.

Mieszkańcy Kopenhagi odbywają tłumne przechadzki o trzy i cztery mile od miasta, ale wracają spędzać wieczory w Tivoli, leżącem tuż po za bramami stolicy. Tivoli jest, że tak powiem, instytucyą narodową, gdyby rządowi przyszła myśl zamknąć ten zakład, doczekałby się rzeczy całkiem nieznanych w Kopenhadze, to jest zamieszania lub może nawet rewolucyi. Jest to park obejmujący kilkanaście kilometrów kwadratowych powierzchni, poprzerzynany naturalnemi jeziorami i sztucznemi rzekami, przyozdobiony kwaterami kwiatów, lasami, mostami, grotami z kamyków i muszli i kaskadami tryskającemi w pewnych oznaczonych godzinach. Już z natury miejscowości już stucznie, pourządzano w każdej prawie alei prześliczne perspektywy. W pośród ogromnego tego parku rozrucone są tu i owdzie budowle z kamienia, z drzewa i z cegły, wszelkiego rodzaju i rozmiarów, przeznaczone na teatra, restauracye, sale koncertowe i balowe, gabinety do czytania i t. p. Najsprzeczniejsze style architektury żyją tu z sobą w najlepszej zgodzie. Alkazar seselski wznosi się obok kiosku rococo, pałac mauretański obok świątyni egipskiej, villa włoska patrzy się na turecką kawiarnię, Alhambra opiera się o wielką pagodę. Z nadejściem godziny dziesiątej wieczór, Tivoli zostaje illuminowane; nie ma ani jednego gaiku w którymby nie było żyrandola, na każdej wysepce jaśnieją girlandy weneckich latarni; pięć czy sześć orkiestr gra ukrytych w cieniu gajów, z tej strony dochodzą dźwięki walca Straus'a, z tamtej melodya Schubert'a lub zagadka Wagnera. Race przelatują gwiżdżąc, fajerwerki unoszą się nad głowami przechodni. Cała ludność stolicy, bez różnicy stanu i majątku, zgromadza się w Tivoli; za pół ryksdala można wejść do tego raju ziemskiego i uży-

wać wszelkich przyjemności jakie nastręcza swoim przybyszom. Społeczność duńska po dziś dzień przechowuje poszanowanie hierarchii, ma fantastyczne zamiłowanie tytułów i godności, chętnie jednak abdykuje od nich przed bramą wiodącą do publicznego ogrodu; panuje tu zupełna równość w obec zabaw i przyjemności. Szlachta i wyrobnicy bawią się razem; dygnitarze nie uważają sobie za ujmę przestawać tu z najniższymi swymi urzędnikami. Nie raz tłumy cisnące się w Tivoli, poznają i pozdrawiają króla duńskiego, który przychodzi tam cieszyć się radością swych poddanych. Liczne tłumy ludu przechodzą spokojnie od jednej do drugiej zabawy; wysłuchawszy koncertu pod gołem niebem, biegną patrzeć na balet tańczony przy świetle księżyca: tu przypatrywali się pantominie tam idą podziwiać fajerwerk, a nigdzie nie posłyszysz krzyków, kłótni, ani nawet zbyt głośnego śmiechu. Nigdy jeszcze w Tivoli nie zakłócono porządku ani spokoju, nigdy nikt nie widział tu ani jednego policyanta.

Tivoli ma swego bohatera którego obowiązkiem zabawiać lud duński; jest to trefniś w rodzaju francuzkiego Pierrot'a lub raczej neapolitańskiego Pulcinella; komiczna werwa Lundgreen'a gromadzi codziennie przed jego deskami tłumy publiczności. Lundgreen ma na sobie kostium zwykły trefnisiów; nie gra roli wyuczonej naprzód, tylko improwizuje; podają mu temat, i on na tle jego snuje niestworzone rzeczy. Nieprzebrana jego werwa, przypomina ową *commedia dell'arte* której po dziś dzień przyklaskuje Neapol, a w której aktorowie popularni jednocześnie układają i odgrywają sztuki. Ale trefniś duński nie mówi tylko gestykuluje, ruchami i minami myśl swoją oddając; wyobraźnia widrów dopełnia jego mimikę, bawi się, śmieje i klaszcze.

Koniecznym epilogiem podróży do Kopenhagi jest wycieczka do Helsinor; kolej żelazna łączy oba miasta; droga trwa pół godziny. Jechać koleją żelazną dla zwiedzenia grobu Hamleta, wyjdzie na to jakby ktoś zatrzymał się na stacyi Pompei dla zwiedzenia domu Diomedesa. Woleliśmy odpłynąć żaglową łodzią, posuwając się wybrzeżem Sundu ku północy, do miejsca gdzie przesmyk ścieśnia się pomiędzy szwedzkim Helsingborg'iem a duńskim Helsinor'em.

Wkrótce gromadki czerwonych domów zaczęły się wyłaniać z pośród lesistych wybrzeży. Helsinor jest to gromadka szaletów piętrzących się w około zatoki na lesistych pochyłościach; przy wejściu do portu wznosi się starożytna forteca, odwieczna strażnica Sundu. Pałac Kroneborg panuje nad ciaśniną; stoi on na skale zwanej O'Ereborg, co znaczy koniec ucha, i przez owo to właśnie ucho Dania w ciągu długich wieków dowiadywała się i odbierała wieści ze świata, przynoszone przez tysiące okrętów.

Działa Kroneborga jedynie uświęcały cło na Sundzie pobierane, do jakiego Dania wytworzyła sobie prawo. Początek tej feodalnej opłaty, pobieranej wyłącznie na korzyść jednego ludu, sięga epoki w której okręta kupieckie wystawione były na morzach Północy na napady korsarzy i uciekały się pod opiekę marynarki duńskiej; która w razie potrzeby dawała im pomoc, a Dania za to nakładała podatek na wszystkie okręta przepływające Sund. Zwyczaj ten, jak wiele mu podobnych, przetrwał o kilka wieków powód swego powstania; przed dwudziestu jeszcze laty, handel europejski opłacał Danii haracz, ustanowiony dla zabezpieczenia go od napaści z dawien dawna zapomnianych korsarzy z Północy.

Stany Zjednoczone zaprotestowały najpierwsze przeciw temu gwałceniu zasady wolności mórz, inne narody z kolei przyłączyły się do tej protestacyi i odkupiły jednorazowo prawo cła na Sundzie, i dziś okręta wszelkich flag płyną sobie spokojnie w obec nieszkodliwych dział Kroneborga.

Helsinor jest miasto dość pokaźne i czysto utrzymane, ale nic tu nie przypomina tragicznych wspomnień wywołanych geniuszem Shakespeare'a. Daremnie wszedłszy na taras wieńczący szańce pałacu, przyzywamy niespokojnego ducha duńskiego księcia — echo nawet nic nam nie odpowiada. „Hamlet" powtarzamy kilkakrotnie do naszej rumianej gospodyni, nie zwraca na to uwagi; myśli zapewnie że to jakie pieszczone imię francuzkie, którego wolno jej nie znać.

Dzień zapada a po nim następuje ów zmrok północny, tak sprzyjający pojawianiu się duchów, idziemy więc odwiedzić tego dla którego przyjechaliśmy do Helsinor. Na ulicach spotykamy pełno marynarzy, rybaków a najwięcej żołnierzy; była to epoka wielkich manewrów; i wszyscy w mieście młodzi ludzie muszą przez kilka tygodni obozować w starej fortecy. We dnie wolno im wychodzić na miasto, ale o oznaczonej godzinie muszą na noc wracać do fortecy. To też nagle ulice opustoszały, domy się zamykają, noc zapada.

Czas jakiś szliśmy około białego muru, nareszcie ukazała się na wpół otwarta kratowana żelazna brama, a przez nią widać było porozrzucane tu i owdzie nagrobkowe krzyże: to cmentarz Helsinorski. Wchodzimy, ale nigdzie nie widać grabarzy zabawiających się trupiemi głowami; to ciche, strojne jak piękny ogród miejsce wiecznego spoczynku: nie przywodzi podobnych wspomnień. Ludy skandynawskie nie lubią otaczać grobów posępnemi przedmiotami: ponure cyprysy i grobowe sykomory wykluczane są z ich cmentarzy, wysadzają je tarniną, bzem i różami. Nie kopią mogił rzędami pod sznur, nie urządzają cmentarze jakby w arcabnice w której każdy ma wyznaczoną sobie przegrodę. Groby rozrucone są jakby po pięknej zielonej łące, pod cieniem drzew, flora północy pokrywa grobowe płyty swym przezroczystym płaszczem: może zdaje im się że w tej woni kwiatów czują dusze ukochanych swoich.

Zabłąkaliśmy się wracając z tej nocnej wycieczki; po długich zakrętach wróciliśmy nareszcie na wybrzeża Sundu, o kilka kroków od pałacu Kroneborg, tej bezużytecznej pozostałości z ubiegłych wieków, podobnej dziś do widma. Na przeciwległym brzegu ukazuje się Helsingborg, jakby biała plama na wybrzeżu szwedzkiem. Przejrzyste światło nocy oświetla cieśninę, bałwany rozbijają się u stóp naszych, z tym nieustannym monotonnym szmerem; nie zmieniającym się od początku wieków. Patrząc ku Północy uprzytomniamy sobie w myśli całą naszą podróż, i stają nam przed oczami Lubeka, Moelar ze swemi tysiąc dwiestu wyspami, stepy Laponii, promieniowanie słońca o północy, jeziora Szwecyi, wąwozy Norwegii, fieldy i fiordy, lodniki Justedolu i Kaskady Hardangeru. Lecz wśród tego natłoku wspomnień, najmilej przypominamy sobie chwile wypoczynku spędzane w gaardach, gdyśmy zasiadali u ogniska ludu skandynawskiego i ściskając dłoń gospodarzy, żyliśmy życiem tej rasy zarazem łagodnej i energicznej, wytrwałej i namiętnej. Skandynawczycy są ludźmi w całem znaczeniu tego wyrazu; nie są ani zniewieściali jak południowcy, ani fataliści jak ludy Wschodu, ani też ociężali i szorstcy jak inne północne narody. W charakterze ich siła łączy się z prostotą, wytrwałością i wdziękiem; poznaje się ich z współczuciem, opuszcza ze wzruszeniem, a do wielu niezaprzeczonych zalet łączą jeszcze cnotę serdecznej gościnności.

Korespondencya ze Lwowa.

(Dokończenie).

Nie brakło i w tym roku odczytów publicznych, które weszły już od kilku lat w stały program rozrywek wielkopostnych. Największe wrażenie sprawił w tym roku znakomity odczyt sławnego artysty naszego p. H. Rodakowskiego o malarstwie. Publiczność śpieszyła na ten odczyt z wygórowanemi wymaganiami, bo któż kompetentniejszym jest do rozprawiania o malarstwie od artysty, który w historyi współczesnej sztuki polskiej zajął tak zaszczytne stanowisko i nazwisku swojemu zjednał nawet za granicą sławę niepospolitą? Mimo to odczyt prześcignął wszystkie oczekiwania i sprawił wrażenie tak silne, że pod tym względem inne nie mogą się z nim mierzyć. Na powodzenie to złożyły się w różnym stopniu głęboka wiedza prelegenta, jego szlachetne pojmowanie celów i zadań sztuki, wreszcie piękna nawet niepospolita dykcya. P. H. Rodakowski wystąpił w swoim odczycie do walki z szerzącą się tak epidemicznie płytkością i trywialnością w pojmowaniu zadań i celów sztuki. Prelegent wystąpił ostro przeciw przenoszeniu dążności pozytywizmu, na pole niemające nic wspólnego z jego celami i metodą, na pole, gdzie mimo tryumfującego dziś materyalizmu, wyłącznie i jedynie panować musi szlachetne pojmowanie ideału, dopóki posiadamy prawdziwych artystów, dopóki sztuka ma nadal pozostać sztuką. Odczyt p. H. Rodakowskiego był, jak słusznie powiedziano w jednem sprawozdaniu, piękną oazą dla tej publiczności, która pilnie uczęszcza na wszystkie odczyty i w ostatnich czasach zbyt często spotykała się z tematami tchnącemi zanadto pozytywizmem. Po panu Rodakowskim miał pan Otton Hausner odczyt o rzeźbie a profesor techniki Zacharyewicz o architekturze. Także i ci dwaj prelegenci zjednali sobie zasłużone uznanie. Wszystkie trzy odczyty zbliżone do siebie nietylko wspólnym dobroczynnym celem lecz pokrewieństwem tematów, stanowiły całość bardzo stosowną i pouczającą.

Kraków rzuca od czasu do czasu na Galicyę a szczególniej na Lwów celną bombę literacką, która zawsze pęka z wielkim hukiem i kaleczy wiele osób. Przed kilku laty pojawiła się pierwsza taka bomba literacko-dziennikarska, osławiona a raczej słynna *Teka Stańczyka*, która nielitościwie wysmagała naszą stolicę a mianowicie jej stronictwa polityczne. W *Przeglądzie polskim*, który był kolebką Teki Stańczyka, pojawiły się później dość często bomby tego samego rodzaju, ale żadna nie sprawiła takiego wrażenia jak wydana obecnie książka pod mało mówiącym tytułem Listów o Galicyi. Nie jestto właściwie nowość literacka, bo książka zawiera w sobie korespondencye krakowskie Gazety Polskiej, drukowane w r. 1875 i 1876. Gazeta Polska, jak w ogóle wszystkie polityczne pisma warszawskie, jest u nas mało znana, więc listy te nie osiągały celu w jej łamach. Dopiero teraz, gdy się dostały do rąk publiczności w formie książkowej, powstało niepospolite zdumienie. Chociaż autor tych listów jest dla Lwowa bardzo niełaskaw a szczególnie na świat literacki i dziennikarski naszej stolicy patrzy poniekąd z pogardą, mimo to chętnie oddajemy jego dziełu uznanie, jakie się należy tryskającej z każdego ustępu bystrości spostrzegawczej, trafności w charakteryzowaniu osób i stosunków, wreszcie niepospolitej zdolności pisarskiej. Kto jest autorem tej książki? Wiemy tylko tyle, że jest nim jeden

z autorów Teki Stańczyka. Zachodzi bowiem wielkie podobieństwo między niektóremi ustępami tej teki a dzisiejszemi listami. Nazwiska żadnego nie wymieniamy, bo autentycznej wiadomości niema a domyślność lwowska bywa w takich razach często bardzo nieszczęśliwą.

O treści tej książki nie będę się obszernie rozpisywać, bo Warszawa zna ją dobrze z fejletonów Gazety Polskiej a jeżeliby potrzebowała jeszcze zapewnienia, że listy krakowskie dały jej trafny obraz stosunków i osobistości wpływowych w Galicyi, to obecne zajęcie sprawione zbiorowem wydaniem tych listów, wystarcza zupełnie na takie zapewnienie. Ale musimy się usprawiedliwić, dlaczego mówimy o zajęciu, skoro książka nie doczekała się dotąd nawet krótkiej wzmianki w żadnym dzienniku tutejszym? Książka sprawiła rzeczywiście zajęcie w kołach zajmujących się żywo bieżącą literaturą a milczenie pracy nie zetrze tego wrażenia. To milczenie zaś jest tylko skutkiem tego faktu, że prasa lwowska otrzymała w listach krakowskich chłostę niemiłosierną ale tak uzasadnioną przytoczonemi faktami, że nie może bronić się ogólnikami. Prasa lwowska nie może nazwać listów krakowskich nędznym i kłamliwym pamfletem, bo skompromitowałaby się w oczach wszystkich, którzy czytali tę książkę, a trudno znowu wymagać od niej takiej abnegacyi ażeby oddała zasłużone uznanie autorowi, który odsłonił i skarcił bardzo surowo jej zdrożności i błędy. Zresztą listy krakowskie nie są jeszcze skończonem dziełem. Jest to dopiero pierwsza serya, po której nastąpią a przynajmniej powinnyby nastąpić dalsze serye. Ma więc prasa lwowska do pewnego czasu dobrą wymówkę i pretekst do zbywania całej sprawy milczeniem, zwłaszcza teraz, gdy z niedbałości czy braku sił redakcyjnych pomija milczeniem tyle ciekawych i ważnych publikacyi, o których nie powinna milczeć prasa pamiętająca o swoich obowiązkach wobec czytelników.

Spuścizna literacka ś. p. Aleksandra Fredry wypełnia ciągle repertoar lwowskiej sceny. Z każdą nową komedyą wytwarza się w krytyce naszej coraz większa niezgodność zdań. Każda sztuka z małymi wyjątkami odmiennie ocenianą bywa w każdem piśmie a publiczność także popadła w niezgodność zdań. Co się jednej połowie i widzów i krytyków bardzo podoba, to druga połowa nazywa mierném jak na takiego olbrzyma, jakim jest Fredro w historyi naszej literatury dramatycznej. Podobnie rzecz się ma z innymi niedramatycznymi utworami ś. p. Fredry. W fejletonie Gazety Lwowskiej drukowaną była niedawno powieść jego, białym wierszem napisana p. t. Jeremiasz Sęp. Między czytelnikami Gazety Lwowskiej trudno znaleźć dwóch, którzyby się zgadzali w sądzie; jeden się zachwycał a drugi czytał tylko dlatego, ażeby mieć przeświadczenie że się czytało utwór Fredry. Co do Jeremiasza Sępa sprzeczność zdań jest jeszcze łatwiejszą do wytłomaczenia. Powieść ta odbija niezmiernie w kolorycie i dykcyi od całej współczesnej poezyi. Ponurym kolorytem, grozą niektórych scen i obrazów utwór ten przypomina dzieła Goszczyńskiego. Jeżeliby sama oryginalność w pomyśle, tle stosunków i w sposobie przedstawienia stanowić miała o wartości, to Jeremiasz Sęp zasługiwałby na nazwę niedoścignionego arcydzieła.

Dla historyi honoraryów literackich we Lwowie pojawienie się Jeremiasza Sępa w fejletonie Gazety Lwowskiej stanowić będzie epokę. Wydawnictwo zapłaciło za ten krótki utwór kwotę, jakąby zadowolił się nawet lepszy autor za dwutomowe dzieło. Nie świadczą to jednak bynajmniej o nadzwyczajnym rozkwicie stosunków literackich. Gazeta Lwowska jest wydawnictwem rządowem i posiada znaczne fundusze, które w prywatnem wydawnictwie dziennikarskiem wydawca przyznałby dla siebie jako zysk przedsiębiorczy a które ona wydawać może na honorarya przyzwoite.

B. Ł.

Odczyty publiczne.

(Dalszy ciąg).

Z czwartym odczytem na dochód Tow. Dobroczynności wystąpił p. Al. Kraushaar, opracowanym starannie i pięknie wypowiedzianym, a noszącym tytuł „Historya nędzy.“ Boleśna to a prawdziwa historya tej choroby, tego raka toczącego społeczeństwa ludzkie, z której dotychczas wyleczyć się nie mogą, a którą dokładnie znać należy ażeby módz pracować i przyczynić się do jej usunięcia, do czego zapewne ludzkość dojdzie kiedyś, gdyż w postęp jej wierzyć musimy.

P. Kraushaar bardzo systematycznie rozwinął smutną historyę tej społecznej biedy. W odległej starożytności niewolnictwo, oto jej objaw najpierszy: W Indyi Paryasi, w Grecyi nieustanna walka bogatych z ubogimi, w Rzymie patrycyat wyzyskujący siły i pracę ludu, oto obrazy prawdziwe w jaskrawych kolorach przedstawione przez prelegenta. Za czasów Cesarstwa Rzymskiego, zbytki patrycyatu a nędza ludu do najwyższego dochodzi stopnia, i wywołują ohydne prawo chwytania żebraków i topienia ich w morzu.

Ale zjawia się Zbawiciel świata, nauka Boska zstępuje między ludzi i przez usta apostołów potępia bogaczy, uczy ich miłosierdzia, a w nędzarzy wlewa otuchę; ale te Boskie słowa w instytucye społeczne nie przechodzą jeszcze.

Wieki średnie odznaczają się znowu najrozmaitszem, najwyuzdańszem wyzyskiwaniem ludu przez despotycznych feodalnych panów. Odkrycie nowego świata daje ubogim podnietę do szukania tam chleba i zarobku. Walki religijne przez reformacyą wywołane, spowodowują nareszcie prawa o ubogich, w Niemczech, Francyi i Anglii. Przyznać należy że opieka i miłosierdzie nad biednemi, u nas wcześniej niż gdzieindziej widzieć się dają. Kazimierz Wielki wraz z akademią funduje i szpital w Krakowie, królowa Jadwiga w Pradze Czeskiej zakłada kolegium i dom schronienia dla ubogich uczniów, król Olbracht wydaje za zgodą sejmu, prawa opieki nad ubogiemi i żebrakami; Stefan Batory w Warszawie funduje zakład inwalidów. Za Zygmunta III i Władysława IV powstaje już mnóstwo fundacyi dobroczynnych. Marya-Ludwika wznosi i uposaża siostry miłosierdzia i zakład Ś-go Kazimierza dotąd istniejący. Jan Sobieski w wielu miejscowościach kraju toż samo czyni.

Wiek XVIII odznacza się ogólniejszem poczuciem obowiązków miłosierdzia, uczeni sprawę ubogich biorą w swoje ręce, liczne pojawiają się dzieła w rozmaity sposób obrabiające tę żywotną kwestyą. Mnożą się publiczne szpitale i dobroczynne zakłady. Konwencya francuzka bierze w opiekę państwa wszystkie rodziny wiele dzieci mające.

Resztę odczytu zajęła kwestya obecnego *pauperyzmu*, rozwoju fabryk i wpływu ich na dobrobyt klas niższych, określenie granic działalności rządów w celu zaradzenia nędzy, uwydatnienie potrzeby i granic dobroczynności prywatnej, rozważenie przyczyn wpływających na istnienie oraz wzmaganie się nędzy, i t. p. aż nareszcie prelegent zakończył swój odczyt następnemi słowami Wiktora Hugo:

„Nie należę do rzędu tych którzy sądzą, że można z życia społeczeństw ludzkich usunąć *cierpienie*. Cierpienie jest prawem Bożem. Ale należę do tych którzy wierzą. że można i należy wytępić *nędzę*. Nędza jest chorobą organizmu społecznego, tak samo jak trąd był dawniej chorobą organizmu ludzkiego. Może więc ona zniknąć, jak zniknął trąd.”

Trzeci odczyt p. Dziewulskiego, będący dalszym ciągu dwóch pierwszych, miał na celu wyjaśnienie teoryi dynamicznej ciepła. Przyjmując jako zasadę, że ciepło jest skutkiem ruchu cząstek materyi, prelegent objaśnił co jest ruch widzialny i niewidzialny czyli międzycząsteczkowy. Najdokładniej okazał to na *kamertonie*, którego ramiona przez uderzenie w drganie wprawione, wydają dźwięki; a też same ramiona potarte, wpływają na zboczenie igły magnetycznej w stosie termoelektrycznym. Pierwszym jest ruch widzialny, drugim ruch międzycząsteczkowy, niewidzialny. Ruch taki może być wywołany pracą mechaniczną, np. ręką ludzką, i wtedy ta praca w ciepło się zamienia. Odpowiednie doświadczenie czynił prelegent na gazach, które ściskane, podnoszą swoją temperaturę. Jeżeli np. strumień powietrza wydymanego mieszkiem, puści się na igłę magnesową stosu termoelektrycznego, to wpłynie na jej zboczenie; jeżeli zaś powietrze ściśnione zostawi się czas dłuższy w naczyniu, tak że ciepło jego przez ściśnienie nabyte, przez ścianki naczynia rozejdzie się na zewnątrz, to strumień powietrza z tego naczynia odchyli igłę magnesową w stronę przeciwną niż w razie pierwszym, co dowodzi że powietrze wracając do swego pierwotnego stanu, utraca tę ilość ciepła jaką przez ściskanie, to jest przez pracę mechaniczną, nabyło.

Dalej szanowny prelegent objaśniał zasady *kalorymetryi*, której zadaniem jest mierzenie *ilości ciepła*, jaką ciała nabywają albo utracają przy podnoszeniu lub zniżaniu temperatury. Temperatura bowiem wskazuje *stan* cieplikowy ciał nie zaś jego ilość. tak samo jak w naczyniach z sobą połączonych (spółkujących) płyn w nich zawarty wznosi się do jednej wysokości, chociaż ilość płynu w każdym z nich może być różną. Do mierzenia ilości ciepła przyjęto w nauce pewną miarę, a raczej jednostkę, zwaną *kaloryą* (calorie), czyli *ciepłostką*. Jest to ilość ciepła potrzebna do ogrzania jednego litra wody o jeden stopień termometru Celsiusa (stustopniowy). Doświadczenia przekonały słuchaczów, że dla każdego ciała innej ilości ciepła potrzeba ażeby je ogrzać do tej samej temperatury, co zowie się w fizyce ciepłem gatunkowem ciał. Najzrozumialszem było doświadczenie Tyndalla: cztery metalowe kulki, żelazna, mosiężna, cynowa i ołowiana, zostały zanurzone do wrzącej wody i do jednej temperatury ogrzane. Wyjęte razem i z osobna położone na jeden większy krążek woskowy jednostajnej wszędzie grubości, każda z nich inaczej się zachowała; kulka żelazna najbardziej w wosk się zagłębiła i stopiła go najwięcej, tyleż prawie mosiężna, cynowa znacznie mniej, a najmniej ołowiana, co jasno dowodzi, że chociaż ich temperatura była jednakowa, ale każda z nich odmienną ilość ciepła zawierała.

Potem prelegent tłomaczył co znaczy mechaniczny równoważnik ciepła, czyli ilość pracy mechanicznej potrzebna do wyprodukowania jednej ciepłostki (kaloryi), to jest ogrzania jednego litra wody o je-

den stopień Celsiusa. Tu znowu objaśniać musiał że w mechanice przyjęto jako jednostkę pracy, siłę potrzebną do podniesienia jednego kilograma na jeden metr wysokości; ta jednostka pracy mechanicznej zowie się *kilogramometrem*. Doświadczenia profesora w Manchester p. Joule dowiodły, że aby otrzymać jedną ciepłostkę, to jest ogrzać litr wody o jeden stopień Celsiusa, potrzeba 424 kilogramometrów, zatem cyfra ta przedstawia równoważnik mechaniczny ciepła. Doświadczenia te i cyfry niezmiernie są ważne w rozmaitych zastosowaniach.

Nauczający ten odczyt zakończyło doświadczenie okazujące wpływ ciepła na zmianę stanu skupienia ciał. Pod wpływem ciepła ciała ze stanu stałego przechodzą w płynny, z płynnego w gazowy. Doświadczenie robione było na pręcie z mieszaniny metalowej łatwo topliwej, który ogrzany przez tarcie mechaniczne, stopił się, to jest przeszedł w stan płynny.

W następnym porządku odczytów na dochód Tow. Dobroczynności przeznaczonych, miały miejsce dwie prelekcye Dr. Wacława Lasockiego „O powietrzu i oddychaniu.” Obszerny to przedmiot, ciekawy i nauczający, a bardzo do wykładów popularnych stosowny. Osoby bowiem światowo ukształcone, te właśnie które najwięcej na publiczne odczyty uczęszczają, wiedzą wprawdzie że każda organiczna istota, roślina, zwierzę i człowiek, do życia swego potrzebują powietrza, że bez niego życie jest niemożebnem, że to powietrze dostaje się do ciała przez organa oddychania i że płuca główną w tem grają rolę; ale mało która z nich wie jaki jest skład powietrza, w jaki sposób ono podtrzymuje życie, jak działa na krew i zmienia ją a raczej ożywia, jak to krew krąży w ciele, jak się zużywa, a następnie w zetknięciu z powietrzem nowych ożywczych nabiera własności; dalej cząstki obce zanieczyszczają powietrze, czyniąc je szkodliwem, a nawet często i zabójczem. Dokładne wiadomości tego rodzaju, specyalne wprawdzie, lecz bardzo przystępne, mało więc są znane większości tych osób co tak chętnie na publiczne prelekcye się schodzą; obeznać je z niemi i systematycznie wyłożyć skład i znaczenie powietrza, oraz cały system oddychania i krążenia krwi tak ściśle z niem złączony, było przedmiotem tych dwóch odczytów Dr. Lasockiego.

Prelekcye te wymownie, kwieciście wypowiedziane, najprzód zaznajomiły słuchaczy co znaczy słowo materya w języku naukowym i jakie są główne jej władności, czem są atomy, pierwiastki chemiczne i chemiczne związki, do których wszakże powietrze nie należy, będąc nie związkiem chemiczuym, ale tylko prostą mieszaniną dwóch pierwiastków lotnych czyli gazów, tlenu i azotu, i dwóch związków chemicznych: kwasu węglowego i pary wodnej, a to w następującej proporcyi: na 100 części powietrza. 78 i $^6/_{10}$ azotu 21, tlenu i $^4/_{10}$ kwasu węglowego, pary zaś wodne w niem się unoszące, w proporcyi ciągle są zmiennej. Z części składowych powietrza, jeden tlen tylko dla utrzymania życia jest niezbędnie potrzebny, przezorna wszakże natura nie podaje go czystym, gdyż działanie jego byłoby za gwałtowne. Znaczna ilość domieszanego azotu działanie to ułagadza, innego wpływu azot nie ma wcale na organizm ludzki, jakoteż i kwas węglowy, którego nadmiar byłby nawet bardzo szkodliwym. Ten zaś koniecznym jest dla wzrostu roślin i w naturze wszystko tak mądrze jest obmyślanem, że zwierzęta zabierają i zużytkowują tlen powietrza, a wydają z siebie kwas węglowy, gdy rośliny przeciwnie, zużytkowują ten ostatni, a wydają tlen, i tym sposobem utrzymują równowagę w składzie powietrza, który inaczej prędkoby się zmienił i uczynił je do utrzymania życia nieprzydatnem.

Powietrze działa bezpośrednio na krew z którą w płucach się łączy. Krew wyrabia się w ciele z pokarmów, ale dopiero połączywszy się z tlenem powietrza, nabiera znanego purpurowego koloru i swych ożywczych własności; w takim stanie przeprowadzona przez cały system tętnic, obiega po wszystkich zakątkach ciała, aż przechodzi w naczynia włoskowate któremi łączy się z systemem żył; żyły krew zużytą, zwęgloną, niezdatną już do podtrzymania życia, koloru ciemno-czerwonego, odprowadzają do serca, które kurczowemi ruchami swojemi, do płuc ją wypycha; tam w pęcherzykach płucnych zetknąwszy się z napływającem nieustannie drogą oddychania powietrzem, chwyta z niego tlen a wydziela kwas węglowy i znowu nabrawszy koloru purpurowego, odnowiona i ożywiona wraca do serca, ażeby znowu z drugiej jego komórki wypchnięta do aorty, a z tej do tętnic, na nowo drogę swą po wszystkich częściach ciała odbyła. Cały ustrój organów oddychania i krążenia krwi był objaśniony na odpowiednich rycinach mocno powiększonych, ażeby z daleka mogły być widziane, i na odpowiednich preparatach anatomicznych, co bardzo się przyczyniło do zrozumienia i zatrzymania w pamięci całego odczytu.

Mówiąc o ilości powietrza koniecznej dla utrzymania życia w człowieku, prelegent objaśnił ile go za każdem odetchnieniem do płuc się dostaje, a ztąd wyprowadził rachunek ile go każdy człowiek dziennie zużywa, przeciętnie 660 stóp kubicznych na dobę. Mieszkania zatem zbytecznie zacieśnione, lub wielka ilość osób nagromadzona przez czas długi w jednem miejscu, gdzie nie ma odpowiedniego przypływu powietrza, są rzeczą bardzo dla zdrowia szkodliwą. W urządzeniu szpitalów baczną zwracają uwagę, aby na każdego chorego była ilość powietrza nie mniejsza jak 1,200 stóp sześciennych, w mieszkaniach najciaśniejszych mniej nad 600 stóp na człowieka bez szkody zdrowia być nie może.

Dobra wentylacya mieszkań i swobodny przepływ powietrza jest warunkiem hygienicznym pierwszorzędnego znaczenia, wilgoć ścian staje na przeszkodzie temu przepływowi powietrza, które i przez suche mury przenika, i na tem głównie polega szkodliwe działanie wilgoci na zdrowie ludzkie.

Przymieszki obce jakie w powietrzu się znajdują, rozmaitego bywają rodzaju i rozmaite wpływy na organizm ludzki wywierają. Należy w nich rozróżnić dwie kategorye: przymieszki lotne, gazy, z których najpospoliciej w powietrzu znajduje się siarkowodor i węglo-wodor, wywiązujące się podczas gnicia ciał organicznych, a także z miejsc bagnistych, bywają one przyczyną niejednej choroby; druga zaś kategorya: ciał stałych w powietrzu się unoszących, stanowi to co pospolicie kurzem albo pyłem nazywamy.

Kurz niemałego jest znaczenia, w najczystszem powietrzu on się znajduje; aby się o tem przekonać patrzmy na smugę światła jaką rzuca promień słońca, gdy przez otwór lub szparę w okiennicy do ciemnego pokoju wpada. W niej dopiero niewidzialne dotąd w powietrzu pyły, jawnie się ukazują i dziwić się musimy ogromnej ich ilości. Czemże są te pyły? I one też są bardzo rozmaite: jedne składają się z ciał mineralnych tak miałko rozdrobionych, iż pomimo swej gatunkowej ciężkości, swobodnie mogą bujać w powietrzu, inne są cząstkami ciał organicznych, inne znowu, zupełnie niedostrzegalne nawet przez najpotężniejsze mikroskopy, niezmiernie jednak ważną grają rolę, gdyż są zarodkami najniższych organizmów. Pierwsze dostawszy się do organów oddechowych, do płuc zwłaszcza, osiadają na nich i mogą być przyczyną niektórych chorób gdy w większej są ilości, ale działanie drugich, owych zarodków, organicznych, niezmiernie jest potężne. Gdy natrafią bowiem na warunki dla siebie przyjazne, rozwijają się szybko, dając życie najniższym organizmom, grzybkom mikroskopijnym różnych gatunków, będących przyczyną wszelkiego rodzaju fermentacyi, tudzież wymoczkom, jakoto: bokteryom, wibrionom, monadom, i t. p. Jakkolwiek zarodki te są niedostrzegalne nawet dla oka najsilniejszemi szkłami uzbrojonego, istnienie ich wszelako zostało ostatecznie dowiedzionem, głównie przez p. Pasteur, który niezmordowanie nad tym przedmiotem pracował i pracuje. Doświadczenia jego były tak przekonywające, że pomimo uporu i talentu przeciwników, musiano uznać jego teoryą, dowodzącą istnienia w powietrzu nieskończonej ilości zarodków organicznych, bez których samoistnie żadne ślady życia objawić się nie mogą. Żałujemy że brak miejsca niedozwala nam przytoczyć ciekawych doświadczeń p. Pasteur, które wielokrotnie przez naukowe komisye sprawdzane były, a które zupełnie obaliły, słynną w szkole materyalistów, teoryą samorodstwa.

Niektóre z tych mikroskopijnych istot, pasożytnie się rozwijających w odpowiednich dla siebie ciałach i warunkach, w ciele też ludzkiem nieraz znajdować się mogą i być przyczyną ciężkich chorób. Nawet jest mniemanie bardzo uzasadnione, że choroby epidemiczne, zaraźliwe, te straszne klęski ludność dziesiątkujące, mają swoją przyczynę w mikroskopijnych zarodkach pewnego rodzaju najniższych organizmów, bardzo rozmnożonych, wytworzonych w pewnych miejscowościach przy odpowiednich dla nich warunkach i z prądami powietrza w dalekie strony zaniesionych. Twierdzenie to chociaż dotąd nie dowiedzione stanowczo, gdyż te istoty jako i ich zarodki tak są drobne, że z pod wszelkich badań się usuwają, ma jednak za sobą wielkie prawdopodobieństwo. W każdym razie rola jaką owe mikroskopijne zarodki wymoczków i grzybków, które w powietrzu w nieskończonej ilości się znajdują i wszędzie przenikają, w naturze całej niezmiernie jest ważną i wielką.

Taką była treść dwóch odczytów Dr. Lasockiego, którą w skróceniu tylko mogliśmy przytoczyć, lecz z czego łatwo się przekonać że były one urozmaicone i nauczające.

Niedzielne odczyty w Muzeum Przemysłowem pr. Dziewulskiego zawsze cieszą się wielkiem powodzeniem. Na czwartym z rzędu, była mowa o zjawiskach cieplikowych przy topieniu się i rozpuszczaniu ciał różnych. Objaśniwszy najprzód że każde ciało potrzebuje innej a właściwej sobie temperatury, ażeby ze stanu stałego mogło przejść w stan płynny, prelegent obszerniej nieco opisywał przemianę wody w lód i na odwrót, przytem na doświadczeniach okazał fenomen znikania cieplika przy topieniu się lodu. Woda gorąca zmieszana z równą sobie ilością wody zimnej, przybiera temperaturę średnią między temi dwoma, np. jeżeli do wody mającej $+ 80^o$ dodamy taką ilość wody mającej $+ 10^o$ to mieszanina obu okaże temperaturę średnią, czyli 45°; ale jeżeli do wody mającej temperaturę 80° dodamy równą co do wagi ilość lodu mającą temperaturę 0° to mieszanina zamfast okazać 40°, jakby być powinno, pokaże zaledwie 1°; cała zatem ilość ciepła znikła, gdyż została użytą na stopienie lodu. Jestto zjawisko cieplika utajonego. Przy przechodzeniu ciał ze stanu płynnego w stały, zjawisko to

w odwrotnym ukazuje się stosunku, cieplik się ujawnia; następne doświadczenie to stwierdza: woda oziębiona do + 4° i przez wstrząśnienie w lód zamieniona, w jednej chwili okazała temperaturę 0°.

Na doświadczeniach także okazanem było, że mieszaniny metalowe czyli aliaże, topią się przy temperaturze znacznie niższej, aniżeli pojedyńczo wzięty każdy metal w skład ich wchodzący. Cztery np. metale: cyna, kadm, ołów i bizmut, które każdy z osobna topią się w temperaturze pomiędzy + 228° i + 326° (Celsiusa), gdy są połączone razem i tworzą aliaż, ten topi się w wodzie wrzącej, a więc niżej 100°.

Wiadomem jest że roztopione ciała stałe, stygnąc krzepną i kurczą się, jest to prawo ogólne, od którego są wszakże wyjątki, bardzo ważne w przyrodzie i w zastosowaniu przemysłowem. Woda np. przy oziębianiu zgęszcza się i zmniejsza swą objętość aż do + 4°; poniżej tej temperatury już się rozszerza, a przechodząc w stan stały, to jest w lód, zwiększa swą objętość z tak wielką siłą, że rozsadza skały i kruszy grube żelazne naczynia. W górach Uralskich tego tylko używają sposobu do rozrywania ogromnych brył najtwardszych kamieni. Surowiec żelazny podobnież rozszerza się przy krzepnięciu, w skutek przybierania budowy krystalicznej; ta okoliczność bardzo jest ważną przy robocie różnych odlewów żelaznych, gdyż metal zastygając i zwiększając swą objętość, wciska się w najdrobniejsze wyżłobienia formy.

Dalej szanowny prelegent tłomaczył działanie mieszanin oziębiających. Używana pospolicie przy robieniu lodów mieszanina lodu i soli kuchennej, polega na chciwem przyciąganiu wody przez sól, która topiąc się pochłania czyli utaja wielką ilość cieplika, przez co cała mieszanina bardziej jeszcze się oziębia. Na zakończenie odczytu zrobionem było doświadczenie Tyndalla wykazujące własność spajania się kawałków lodu, zwłaszcza przy silnem ciśnieniu, przez co z małych kawałków można otrzymać massę jednolitą i zupełnie przezroczystą jakiej bądź formy. Przytem ukazanem było na doświadczeniach, że przy zmniejszonem ciśnieniu powietrza woda poczyna wrzeć przy niższej temperaturze, co daje się widzieć na wyniosłych górach, gdzie do zagotowania wody mniejszego potrzeba ciepła aniżeli w dolinach.

(d. c. n.)

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Juljannie S. w Rublance. U sukien jedwabnych czarnych, robią zwykle jeżeli mają być długie, spódnice gładkie, tylko vêtement a lepiej tunika suto upięta bywa kokardami i frendzlą oszyta. Jako sortie de bal używają w tym roku nie zbyt długich białych okryć.—Ubrania na głowę noszą duże a drogie kamienie wszystkie jak cenne i pięknej wody modne zawsze jednakowo.

Życzliwej Prenumeratorce. Wierszyki nadesłane wydrukujemy. Surowa krytyka dawniejszego nie była słuszną. Wszystko ulega pewnym prawom niezłomnym i musi się objawiać w odpowiedniej formie. Posiadania pięknej duszy podniesionej nauką do ideału każdy pragnie, ale któż pogardzi urodą ciała która przez oczy wciska się do serca?

Pani K. w Stawiszczach. Rubli cztery odebraliśmy i za odesłanie ich dziękujemy.

Pani W. L. Za.....o. Nie mając rękopismu nie możemy ocenić jego wartości. Prosimy o przysłanie go, a natychmiast odpowiedź udzielimy.

Pani A. B. we Włocławku. Za doniesienie jesteśmy wielce obowiązani, ale wiadomości podobnych jako zbyt osobistych ogłaszać w Tygodniku nie możemy.

Pani Julii B. w Tuśni. Listy do Antoniego Pietkiewicza (Adama Pługa) trzeba adresować do Redakcyi Kłosów, a z pewnością dojdzie go każda korespondencya, gdyż pisma tego jest stałym współpracownikiem.

Pani Helenie P. w Kamieńcu P. Książki wysłane zostały. Sztucznych kwiatków kosztują bratki od kop 45, niezapominajki od kop. 75, bławatki od kop. 30.

Panu Maryanowi S. Wierszykom p. t. Dumka i smutek brak wszelkiej formy.

P. Maryi K. w Żytomierzu. Aby tłomaczenia były odpowiednie dla Przyjaciela Dzieci, muszą być zwykle zupełnie przerobione. Nie idzie tu bowiem o wierność tłomaczenia tylko o treść i jej zastosowanie dla dzieci polskiej narodowości.

Opis ryciny kolorowej.

Fig. 1. Ubranie wizytowe. Suknia z materyi faille popielatej w drobne paseczki czarne przybrana jest materyą i frendzlą ciemno granatową. Spódnica zakończona dwoma skośnemi falbankami z wypustką przyszytemi szeroką plisą z plisowanym nagłówkiem. Vêtement formą princesse z plecami złożonemi z kilku części, zapinane wzdłuż przodu na guziki oszyte bogatą frendzlą i szeroką plisą, na rękawach mankiety z plisowaniem i kokardami.

Fig. 2 i 3. Ubrania do pierwszej komunii. Fig. 2 przedstawia suknię z muślinu, kaszmiru, alepiny lub alpagi zwykłą formą princesse zapinaną z tyłu a u dołu oszytą falbanką skośną plisowaną. Szarfy z materyi faille, kreza z crêpe lisse.

Fig. 3. Suknia formą princesse z białego kaszmiru, zdobna kilkoma rzędami ruloników z białej faille. Kołnierzyk i mankiety batystowe. Złoty krzyżyk z łańcuszkiem. Welon tiulowy.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 24 Марта (5 Апрѣля) 1877 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Dodatek.

Opis do N. 12.

(Dokończenie.)

Ryc. 33 przedstawia przód sukni z czarnej faille; spódnicę zakończa falbana z nagłówkiem, kilka razy drobno przemarszczana u góry, u dołu zaś ozdobiona w 6 cent. odstępach wszywanemi kawałkami plisowanemi, 8 cent. szerokiemi a 6 długiemi. Plisowanie i kolorową materyą podkładana wszywka lub ażurowa pasmanterya 8 cent. szeroka, dopełnia przyozdobienia. Na ryc. 33 widzimy takąż suknię przedstawioną z tyłu; użyta na nią materya jest koloru blado-niebieskiego; plisy i kokardy są z różowej materyi oszytej koronką lub torsadką jedwabną.

Opis do N. 14.

N. 1, 3 i 15. Ubranie domowe i negliżowe.

N. 1. Ubranie dla niedorosłej panienki.

Składa się z krótkiej spódnicy z gładkiego, wełnianego materyału, i z vêtement formą princesse z materyału w pasy, zapiętego z przodu na guziczki w kształcie kulek. U dołu vêtement wycięte jest w zęby śpiczaste, podgarnirowane plisowaniem. Przez całą długość przodów naszyte są plisy objęte wypustką ze sznureczkiem u dołu zakończone sutemi kokardami ze wstążki, a z tyłu na plecach zeszyte w róg chusteczkowy. Rękawy gładkie przybrane plisowaniem z materyału w paski, kieszonka zawieszona z boku na lekko przepasanej wstążce.

N. 2. Ubranie negliżowe.

Składa się ze spódnicy z trenem i z kaftanika przedstawionego z przodu na ryc. 15, którego krój i opis podajemy na arkuszu z krojami, N. VIII Fig. 19—22. Negliż odrobiony był z cienkiej wiktoryi, obrąb spódnicy przykrywało plisowanie 11 cent. szerokie, na które zachodził suto haftowany wolant 25 cent. szeroki, zakończony nagłówkiem 8 cent. szer. układanym w kontrafałdy, jak garnirunek kaftanika.

N. 3. Ranne ubranie dla małej dziewczynki. Krój jak do ryc. 26—27 w N. 5 Tygodnika.

Model sukienki był z flaneli jasno-szafirowej, szeroka szarfa z materyi lub wstążki. Pończochy w paski białe i szafirowe, pantofelki skórzane.

N. 4 i 5. Poduszka na toaletę z przykryciem z siatki gipiurowej i koronki irlandzkiej.

Poduszka z atłasu w jasnym kolorze, ogarnirowana falbaną i przystrojona kokardami ze wstążki, z wierzchu pokryta jest kwadratem siatki gipiurowej, z narożnikami z koronki irlandzkiej, z pod których siatka jest wycięta. Inny kwadrat z samej siatki podajemy w naturalnej wielkości na ryc. 4

N. 6—7. Przyrząd do mydlenia przy myciu. Robota szydełkowa z bawełny estramadura N. 6 i grubej bawełny ponsowej.

Robotę zaczyna się od środka okręgu górnego na o. 4 i robi w koło przybierając stopniowo, aż do 9 cent. średnicy; dolną część robi się tam i napowrót, ściegiem ścisłym, karbowanym, dając zawsze 3 o. w oko środkowe a spuszczając 1 i ostatnie o. w każdym rzędzie. Przyrząd jest cały z bawełny białej a ząbki z bawełny ponsowej.

N. 8. Lambrekina do okna. Robota krzyżowa.

Niemogąc dla braku miejsca podać w naturalnej wielkości, najświeższego deseniu do roboty krzyżowej, podajemy przynajmniej zmniejszony model podług którego dobrać będzie można deseń podobny. W dolnej części na tle ciemno szafirowem kwiaty są niebieskie i ponsowe (pons pompejański) z obwódką złotawo-bronzową, liście zaś jasno i ciemno-oliwkowe. Część górna ma tło pompejańskie ponsowe, kwiaty niebieskie, a liście popielate do cieniu. Wązkie szlaczki mają na tle jasno-piaskowem centki czyli kamyki niebieskie, ponsowe i popielate. W tego rodzaju deseniach wszystko stanowi dobór cieni i kolorów których w żaden sposób opisać nie można; gust więc, znajomość i wprawa są tu konieczne. Model lambrekiny miał 150 cent. szerokości, 110 środkowej a 80 bocznej; sznur gruby z brzegów, jest w kolorach deseniu a frendzla kręcona szafirowa.

N. 9—10. Torebka na bieliznę nocną. Deseń na dodatku z krojami Fig. 32.

Torebkę mającą 30 cent. wysokości a 40—45 szerokości odrobić można z piki białej lub płótna kolorowego, deseń wyszyć sutaszem, ściegiem łańcuszkowym lub dzierganym (jak na próbce ryc. 10), bawełną w jednym lub dwóch kolorach. Frendzla z grubej, kordonkowej bawełny.



N. 1. Ubranie dla młodej panienki. N. 2. Negliż. Patrz ryc. 15. Krój i opis kaftanika na arkuszu N. VII, Fig. 19—22-a. N. 3. Sukienka dla małej dziewczynki.

N. 11—13. Woreczek na brudne drobiazgi. Deseń haftu Fig. 33. Próbka roboty N. 12, próbka kratki N. 13.

Woreczek z płótna białego, składa się z dwóch jednakowych części, mających 39 cent. długości a 26 środkowej szerokości, w obydwóch końcach śpiczasto podług wzoru ziętych; z boków dodane są suflety 32 cent. długie, u dołu śpiczasto zakończone, w środku 14, u góry 11 cent. szerokie. Fig. 33 podaje gałązkę kwiatów, powtarzanych w koło woreczka. Sposób roboty wskazujemy dokładnie na ryc. 12. W środek wstawiona jest kratka odrobiona na oddzielnym kawałku płótna; w miejscu przeznaczonem na kratkę tło woreczka się wycina, brzeg dzierga w koło, a kratkę podkłada z lewej strony i przyszywa nieznacznym ściegiem. Suflety są pojedyńcze; pod woreczek daje się kolorową podszewkę, brzegi każdej części oszyte są wąziutką koroneczką niciną, albo szlaczkiem szydełkowym. U góry woreczek związany na wstążkę, służącą zarazem do zawieszania, u dołu kokarda ze wstążki.

N. 14 i ryc. 40 w N. 15 Tygodnika. Czepeczek z wachlarzowym garnirunkiem.

Fason negliżyka stanowi pasek sztywnego tiulu 45 cent. długi, w koło agremanem oszyty i wstążeczką objęty, z tyłu w ząb śpiczasto zeszyty. Owalne muslinowe denko 40 cent. szerokie a 45 długie oszyte jest w koło wstawką koronkową i plisowaniem 3—4 cent. szerokiem. Z przodu zaszywa się denko w 4 płaskie kontrafałdy, z tyłu 18 cent. od dolnego brzega w 2 głębokie fałdy i przyczepia do paska tiulowego. Wstążka repsowa 6 cent. szeroka służy na kokardy z przodu, a 4 cent. na przewiązanie z tyłu pozostałej części denka, ułożonej i spuszczonej w sposób na ryc. 14 wskazany.

N. 16—21. Wstawki i szlaczki do bielizny. Robota szydełkowa z torsadką lub ząbkami z tasiemeczki. Rodzaj roboty szydełkowej dokładnie wskazany na próbkach.

N. 22. Szlaczek do haftu na falbanki do bielizny.

N. 23—24. Negliż ranny z naszytym kaftaniczkiem. Krój N. XIV, Fig. 34—37.

Najwłaściwszym materyałem na negliż jest pika biała albo barchan pikowy. Na zmniejszonym rysunku Fig. 34-a—37-a podajemy wzór i miary wszystkich zestawionych części negliżu podług których trzeba formy Fig. 33—36 dopełnić. Garnirunek naszyty na negliżu naśladuje otwarty kaftaniczek z długiemi przodami, którego plecy dochodzą tylko do fałd spódnicy.

Na ryc. 23 kaftaniczek odznaczony jest plisą 3 1/2 cent. szeroką, z brzegów dwa razy przestębnowaną lub zakończony wypustką z perkalu ze sznureczkiem, i oszyty koronką 4 cent. szeroką z mignardisse i roboty szydełkowej. Na ryc. 24 plisę zastępuje drobno plisowana, 6 cent. szeroka, batystowa falbanka, pod którą podszyty jest gładko, szlak haftowany 7 cent. szeroki. Kieszonkę układa się z kawałka piki 25 cent. szerokiego, 18 długiego, do dołu skośnie ściętego, w górze założonego w głęboką kontrafałdę.

N. 25—26. Suknie formą princesse dla młodych panienek. Krój N. XV, Fig. 38—44.

Ryc. 25 przedstawia z przodu suknię gładką, skośnie zapinaną. Na ryc. 26 widzimy z tyłu takąż suknię do większego ubrania dopełnioną szarfą „Almée" mającą 60 cent. szerokości, 300 cent. dolnej a 240 górnej długości,

do której zcina się skośnie brzegi poprzeczne. W górze szarfę przyczepia się krytym ściegiem a wywinięcie odznacza frendzla; końce przy złączeniu z tyłu są do 12 cent. zfałdowane i węzłem przepięte.

N. 27. Suknia z vêtement. Krój vêtement N. XXIII Fig. 62.

Krój vêtement mało się różni od podanego w N. 7 Tygodnika do ryc. 28, główna różnica w odmiennem od poprzedniego a jednakowem z obydwóch boków podpięciu, które odznaczone jest krzyżykami i punktami na Fig. 62. Oprócz fałd zaszytych w podłuż, przy górnym, skośnym brzegu (w odstępie 43 cent. od poprzedzających), zaszywa się fałdy gwiazdką oznaczone i przyczepia od spodu do pleców w miejscu takąż gwiazdką wskazanem. Frendzla kuleczkowa 20 cent. szeroka, zdobi dolny i boczny, 27 cent. długi brzeg vêtement, które do spódnicy jedwabnej może być z gładkiej flanelki lub innego wełnianego materyału, a do gładkiej, wełnianej spódnicy, z matelassé lub adamaszku wełnianego.

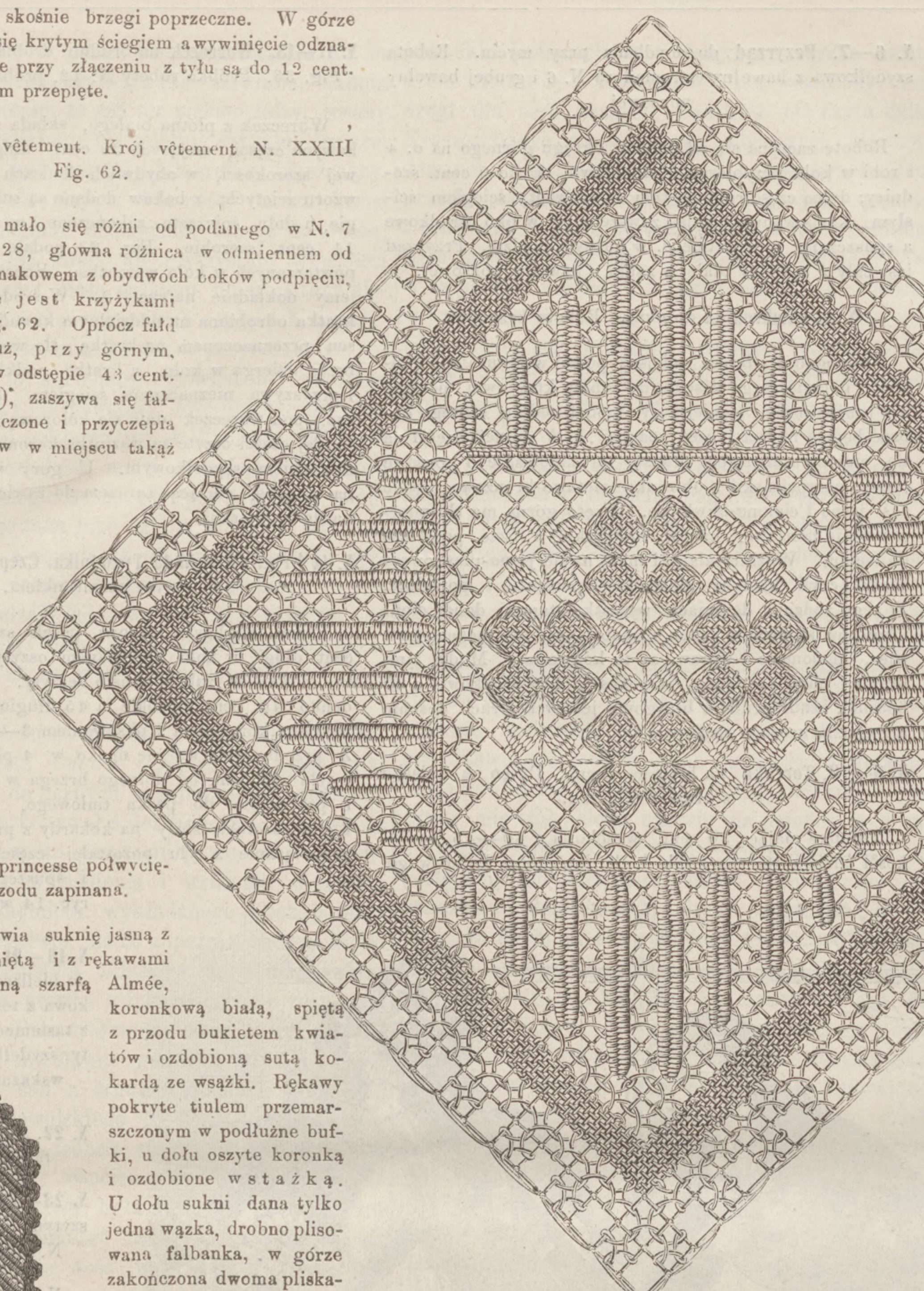
N. 28—29. Suknia princesse półwycięta skośnie z przodu zapinana.

Ryc. 28 przedstawia suknię jasną z faille trochę wywiniętą i z rękawami do łokcia, przybraną szarfą Almée, koronkową białą, spiętą z przodu bukietem kwiatów i ozdobioną sutą kokardą ze wsążki. Rękawy pokryte tiulem przemarszczonym w podłużne bufki, u dołu oszyte koronką i ozdobione wstążką. U dołu sukni dana tylko jedna wązka, drobno plisowana falbanka, w górze zakończona dwoma pliskami.

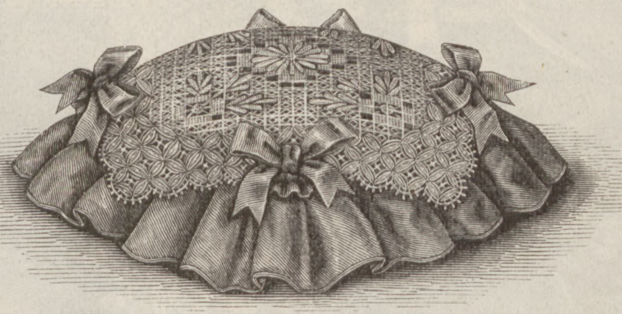
Ryc. 29 przedstawia z tyłu suknię z materyi w drobne paski różowe i białe, ubraną materyą gładką. Dół sukni zdobi falbana skośna. 22 cent. szeroka, nad którą dodana frendzla 5 cent. szeroka i upięcie z gładkiego, skosu 10 cent. szerokiego, układanego w bufy 22 cent. długie, przepinane węzłami. Takież upięcie przechodzi dwa razy wzdłuż przodu i łączy się w górze z szarfą 20 cent. szeroką z podwójnie złożonej materyi. Szarfa ta ułożona w sposób na ryc. 29 wskazany, podpina trochę tren w górę. Wykrój stanika jednakowy jest z tyłu i z przodu.

N. 30. Suknia princesse z tyłu zapinana.

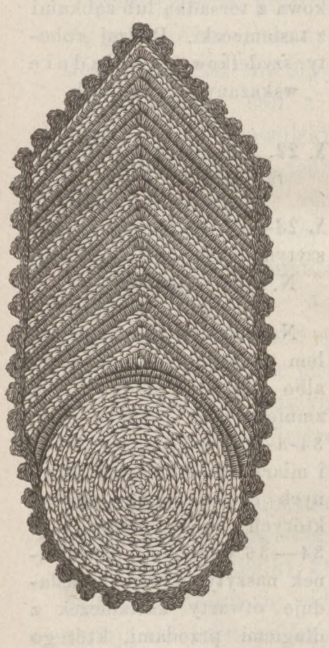
Suknia z gros-grin garnirowana drobniutko plisowanemi falbankami, z szeroką szarfą Almée upiętą w kształcie tuniki, przy półkrótkich rękawach i wykroju stanika, oszyta jest sutą riuszą ze strzępionej materyi. Szarfa oszyta jest plisowaniem i szeroką plisą, któremi odznaczone jest także górne wyłożenie. Wykrój z przodu stanika kwadr. a zapięcie urządzone z tyłu. Plisy zastąpić można jedwabnym galonem.



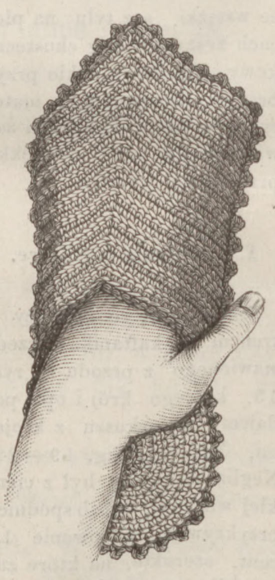
N. 4. Kwadrat z siatki gipiurowej do ryc. 5.



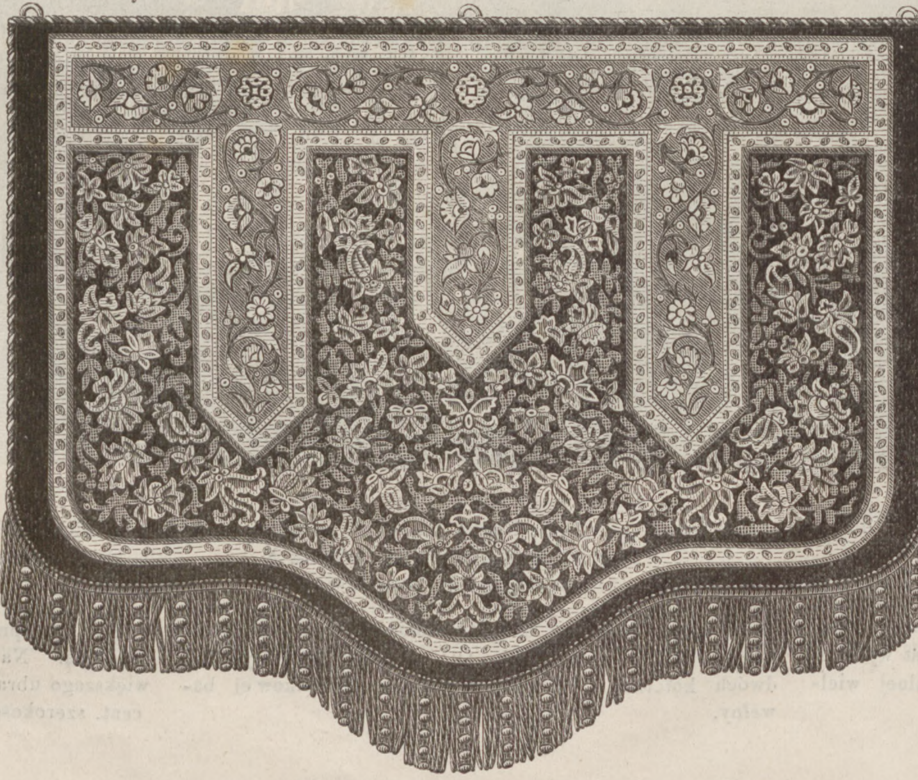
N. 5. Poduszeczka na toaletę. Patrz ryc. 4.



N. 6. Mydlik szydełkowy. Spód. Patrz ryc. 7.



N. 7. Mydlik szydełkowy. Wierzch. Patrz ryc. 6.



N. 8. Lamb rekina do okna.

O BIELIŹNIE.

W krojach bielizny żadna nie zaszła odmiana, koszule nocne i dzienne, kaftaniczki i czepeczki nocne, od lat kilku jedne zachowują formy, a nowość polega na rozmaitych zmianach garnirunków. Przy upowszechnieniu maszyn do szycia i haftu garnirunki stają się coraz sutsze i bogatsze; obrąbki i zakładki różnej szerokości, stębnowane skośne i proste listewki, różne wstawki, koronki i bufki, pozwalają najrozmaiciej zmieniać przystrojenie. W wyborze jednak i wykonaniu radzimy łączyć piękno z praktycznością. Oprócz cienkich koronek nicianych i tak zwanych *Trimming*, które obecnie naśladuje haft angielski, bardzo dziś modne są koronki maszynowe *hiszpańskiemi* zwane, mające tło cienkie w deseń haft naśladujący. Te ostatnie nadają się tylko do cienkich materyałów jak batyst, muślin lub cienka wiktorya oszywa się niemi kaftaniczki i czepeczki ranne, chusteczki na szyję i do nosa.

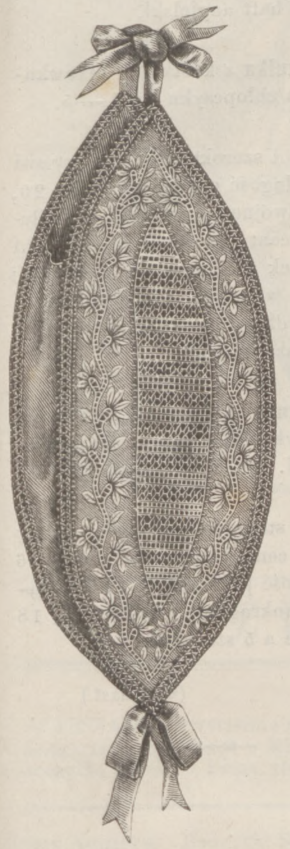
Pierwszeństwo jednak zawsze trzymają hafty i koronki robione ręcznie, którym fabryczne nigdy nie dorównają w piękności i mocy.

Na negliżowe ubrania, kaftaniki, majtki i spódnice wiosenne, bardzo używana jest pika i barchan pikowy w różne drobne kratki lub kostki wyrabiany. Do przybrania takowych oprócz haftu i koronek nicianych warsztacikowych, używane są koronki szydełkowe z torsadką lub mignardisse.

Przy wązkich i gładko przylegających obecnie sukniach, największą uwagę zwrócić wypada na krój gorseta i spódnicy; pierwszych nie radzimy robić w domu, bo oprócz dobrej formy wymagają wielkiej umiejętności i wprawy w podszyciu. Na spódniczki krótkie, do ziemi i z trenem, podajemy w N. 15 kilka bardzo dobrych fasonów. Osoby dobrej tuszy, pragnące jednak ubierać się obcisło noszą poniżej gorseta pasy elastyczne 15—20 cent. szerokie, do których dopiero przypina się spódniczkę. Potrzeba jednak dużej dozy pretensyi i cierpliwości, ażeby znosić taki przymus i umęczenie. Obowiązkiem było naszym wspomnieć o tym rodzaju modnych tortur, których jako bardzo szkodliwych zdrowiu radzimy unikać.

Nat miast na ryc. 32—33 podajemy wzór dogodnego, luźno gładko leżącego pasa do spódnic, którego krój załączamy na Fig. 23—25-a. Stosownie do wzrostu dłuższe lub krótsze miękkie, fiszbiny, mogą być przy szwach wewleczone, takowe jednak nie są konieczne. Do spódniczek flanelowych lub barchanowych szczególniej polecamy takie pasy, podszyte perkalem, z tyłu na guziczki zapinane. U dołu do pasa przyszyte są guziczki do których przypina się zwierzchnią perkalową lub półbatystową spódnicę, jak to wskazuje ryc. 32 w N. 15.

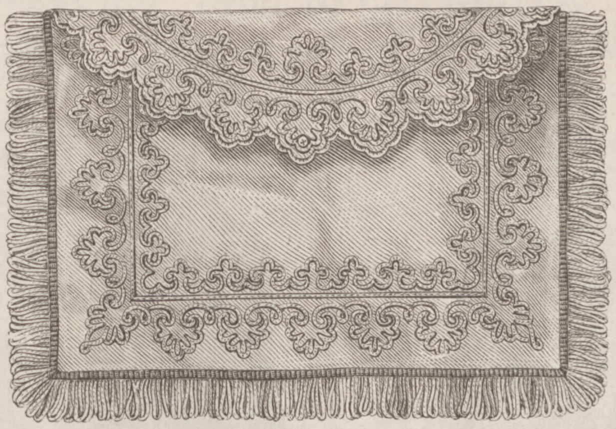
Na ryc. 33 podajemy spódniczkę z kolorowej flanelki, ozdobioną i koronką naszytą wstawką nicianą. Pomiędzy wierzch i podszewkę pasa wpuszcza się i dwa razy przystębnowywa spódniczkę, która z przodu i boków jest zupełnie gładka a z tyłu cokolwiek przymarszczona. Rozporek przykrywa listwa dodana jak przy koszuli. W miejsce koronki można wyszyć jaśniejszą włóczką deseń podany na fig. 64. Dla osób dobrej tuszy do kirasowego stanika lub vêtement, nawet spódnica sukni może być w taki pas wszyta, któren jednak musi być stosownie do wzrostu, trochę dłuższy jak pas do spódnicy, ażeby guziki nie wypadały równe z brzegiem pasa zwierzchniego. Nie dla każdej jednak figury korzystne są zupełnie gładkie pasy z tyłu, częstokroć wypada już do pasa (zwłaszcza od sukni) dodać mniej lub więcej na przymarszczenie, osoby zaś bardzo szczupłe używają małych turniur.



N. 11. Woreczek na bieliznę. Haft i kratki ażurowe. Patrz ryc. 12. Deseń na arkuszu Fig. 33.

Ryc. 36 w N. 15, przedstawia spódnicę bez trenu zaledwo trochę powłóczystą z tyłu, służącą do kostiumowego lub spacerowego ubrania, którą jednak bardzo łatwo zmienić można w spódnice z trenem, przez dodanie oddzielnego trenu wskazanego na ryc. 37, a przypinanego na guziki. Zmniejszony model i miarę spódnicy podajemy na Fig. 28 i — m. Tylny bryt spódnicy *f* dopełniony jest od dołu oddzielną szerszą częścią *g*, którą się w górze marszczy i do części *f* przyszywa, na wierzchu zaś w miejscu oznaczonem kropkami przyszywa się część *h*. Na wierzchu w koło spódnicy przyszyta jest falbana, mająca 80 cent. więcej szerokości od spódnicy; falbana z przodu przyszyta jest prawie gładko, a zmarszczki dają się tylko z tyłu.

Kołnierzyki do wizytowego, spacerowego i domowego ubrania, najwięcej używane są webowe; na wieczór i do strojnego ubrania koronkowe, hiszpańskiemi zwane.



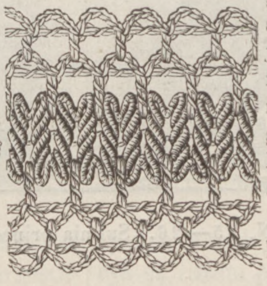
N. 9. Torebka na bieliznę wyszyta ściegiem sznureczkowym. Patrz ryc. 10. Deseń na arkuszu Fig. 32.



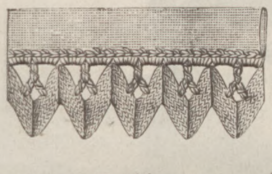
N. 15. Kaftanik do negliżu ryc. 2. Krój i opis na arkuszu N. VIII, Fig. 1—22-a.



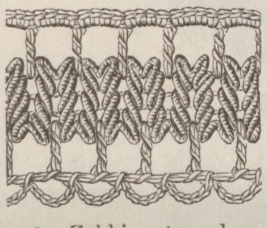
N. 16. Wszywka z torsadki obrobionej szydełkiem.



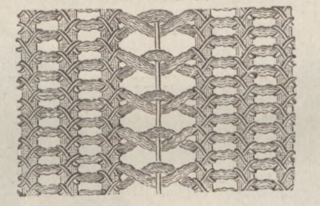
N. 17. Wszywka z torsadki obrobionej szydełkiem.



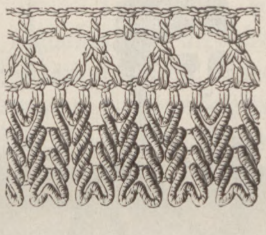
N. 20. Ząbki z tasiemeczki.



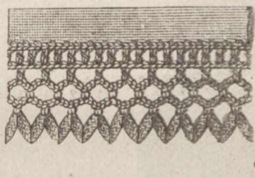
N. 18. Ząbki z torsadki i roboty szydełkowej.



N. 13. Kratka ażurowa do ryc. 11.



N. 19. Ząbki z torsadki obrobionej szydełkiem.



N. 21. Ząbki szydełkowe z tasiemeczką.

Opis do N. 15.

N. 1. Szkatułka na materyały piśmienne. Malowanie nakrapiane na drzewie.

N. 2—3. Ubranie żałobne.

Fig. 61 podaje zmniejszony rysunek i miary długiego vêtement, bez żadnego podpięcia poważnie spuszczonego, prosty, 100 cent. szeroki bryt tylny, u dołu jest cokolwiek zaokrąglony, u góry nagłówkiem podwójnym zakończony, w podwójne kontrafałdy ułożony i do baskiny pleców przyszyty. Na ryc. 2, spódnica oszyta jest skośnym wolantem, a vêtement wełnianą, 8 cent. szeroką frendzlą i 13 cent. szerokiem, prosto krajanem obłożeniem z angielskiej krepy, z której także dane są mankiety przy rękawach i kołnierzyk. Kokardy z matowej, repsowej wstążki.



N. 21. Ząbki szydełkowe z mignardisse.



N. 12. Haft do woreczka ryc. 11.

Na ryc. 3, spódnica oszyta jest plisowaniem 9 cent. szerokiem; przy vêtement frendzle zastąpione plisowaniem 4 cent. szerokiem, plisa przy vêtement i ubranie stanika z krepy angielskiej. Kapelusz i welon z grenadyny żałobnej.

N. 4—5. Suknia żałobna formą princesse.

Powłóczysta, z tyłu na guziki zapinana suknia, przybrana jest garnirunkiem 56 cent. szerokim układanym z prostego materyału w równe, $1\frac{1}{2}$ cent. głębokie fałdy, od lewej strony zafastrzygowane i do kilku poprzecznie idących tasiemek przyczepione. Garnirunek ten otacza figurę, a z tyłu jeden koniec poprzeczny przyszyty jest do górnego podłużnego brzegu ażeby utworzyć róg śpiczasty, na tren spadający. Wązkie plisowane falbanki, plisa i poczwórne wązkie pliski stanowią garnirunek spódnicy. Mankiety i kreza z krepy albo z grenadyny.



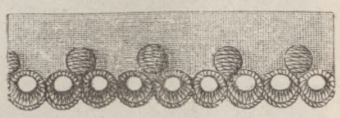
N. 14. Czepeczek muślinowy z plisowaną falbanką.

N. 6—7. Kreza i mankiety żałobne, grenadynowe.

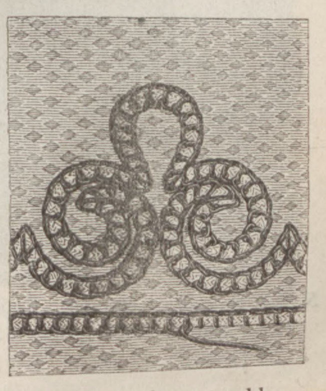
Ażeby paskowi do krezy nadać dobrze leżącą formę okrągławą, tak grenadynę jak i jedwabną podszewkę kraje się skośnie (2 cent. szeroko) i cokolwiek ściąga przy zeszyciu od dołu. Fryzka do kołnierzyka $2\frac{1}{2}$ cent. szeroka, podwójnie złożona kraje się skośnie, zarówno jak i 2 cent. szeroki garnirunek do mankietów, i układa w podwójne kontrafałdy. Mankietki z cienkiego kaszmiru robią się na czarnym, sztywnym, muślinie z podszewką fularową.

N. 8. Kapelusz krepowy do żałoby.

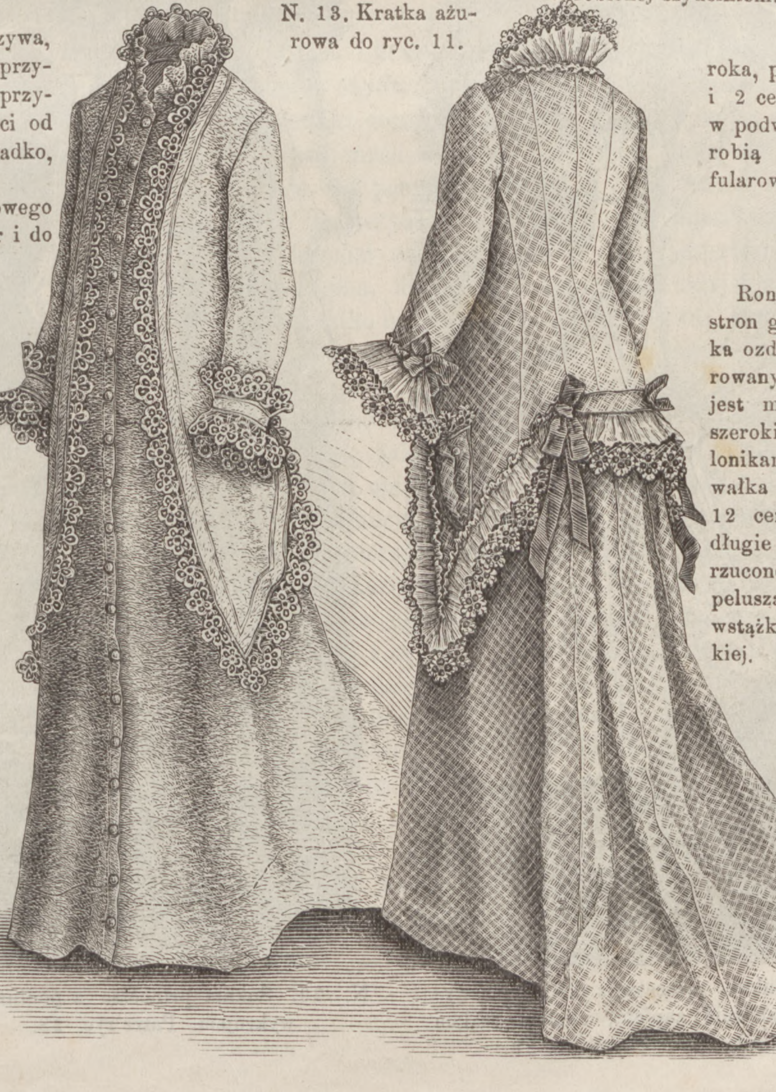
Rondko 6 cent. szerokie, pokryte jest z obydwóch stron gładko krepą lub grenadyną, zwierzchni brzeg rondka ozdobiony jest dwoma rulonikami, od spodu pogarnirowany sutą riuszą. Miękka fałdowana główka podszyta jest marseliną, a w koło ogarnirowana sutem, 6 cent. szerokiem plisowaniem, od dołu zakończonem dwoma rulonikami. Z tyłu kokarda z 15 cent. szerokiego kawałka krepy i dwa końce węzłem złączone; barbki 12 cent. szerokie a 70 długie są lekko przerzucone, a do wiązania kapelusza, służą kawałki wstążki $2\frac{1}{2}$ cent. szerokiej.



N. 22. Ząbki haftowane.



N. 10. Wyszycie na torebkę ryc. 9.



N. 23—24. Negliż z przybraniem odznaczającem kaftanik. Krój na arkuszu N. XIV, Fig. 34—37-a.

N. 9. Czepek żałobny krepowy.

Fason czepka stanowi trójkąt ze sztywnego tiulu 28 cent. długi a w środku 10 cent. szeroki, rogiem do czoła obrócony i agremanem oszyty. Główkę czepeczka stanowią dwa 18 cent. szerokie, a 50 cent. długie końce, od góry sfałdowane i do foremki tiulowej przyszyte, na denko podług głowy, kokardą spięte a w końcach śpiczasto (na 22 cent. długości skrojone. Do twarzy czepeczek oszyty jest riuszą 4 cent. szeroką, za którą przepasana wstążka, matowa z długiemi końcami, nad czołem za wstążką, sute upięcie z krepy. Obrąbiając końce, riusze i kokardy, jedwab bierze się cieniutki, a ściegi dają rzadkie ażeby krepa nie wyszła ze sztywności.

N. 10—11. Dwie koszule dla małych panienek. Krój i opis kroju N. XIII, Fig. 29—31.

Większa koszulka przykrojona była dla panienki lat 7, mniejsza dla mającej lat 5; podaną jednak formę łatwo podług wziętej miary dla większych panienek dopasować, przedłużając i stosownie rozszerzając stan u dołu i trochę powiększając pasek i rękawki. Stan mniejszej koszulki, dla dogodniejszego kładzenia w majtki jest od dołu rozpruty.

N. 12. Koszula nocna dla niedorosłej panienki. Krój N. XIX Fig. 54—57.

Formę stanu przedłużyć trzeba podług miary, z przodu zastębnować zakładki, plecy zmarszczyć i wszyć do karczka; na rękawy nie podajemy formy bo ta jest zawsze jednakowa. Z przodu przez całą długość koszula zapinana jest na guziki, a do przyozdobienia zakłady, mankietów i kołnierzyka, służy koronka *Trimming*, naśladująca haft angielski.

N. 13. Koszulka z krótkiemi rękawkami, dla chłopczyka lat 3 — 5.

Długość i szerokość stanu wynosi 49 cent., długość otworu z przodu 20, proste podwójne przyramki 12 długości a 8 cent. szerokości, ćwikielki do przyramek 4 centymetry. Wykrój szyi objęty w pasek 1 cent. szeroki a 34 cent. długi, oszyte plisowaniem $2^1/_2$ cent. szerokiem.

N. 14. Koszula z długiemi rękawami dla chłopczyka lat 6 — 8. Krój kołnierza N. XX Fig. 58—59.

Długość stanu od podpięcia pachy wynosi 48 cent., szerokość dolna 56 cent., długość przyramek 13 a rękawów 40, zaokrąglone mankiety są 18 cent. długie a 5 szerokie.

(Dok. nast.)



N. 25—26. Suknia princesse skośnie zapięta, dla młodych panienek. Krój na arkuszu N. XV, Fig. 38—44-a.



N. 27. Suknia z vêtement. Krój na arkuszu N. XXIII, Fig. 62.

N. 28. Suknia princesse z podłużnym wykrojem skośnie zapięta, zdobna szalem koronkowym. Patrz ryc. 29.



N. 29. Suknia princesse z podłużnym wykrojem. Patrz ryc. 28.

N. 30. Suknia princesse zapinana z tyłu.